

LIBERTÉ!

numer 85/sierpień 2023

MY I ONI, ONI I MY

PIOTR BENIUSZYS ° MAGDALENA M. BARAN ° SYLWIA DZIEMIŃSKA ° ANNELEISE MISTEL
MICHAEL GIELETA ° PAWEŁ WOJCIECHOWSKI ° OLGA BRZEZIŃSKA
PIOTR GÓRSKI ° MACIEJ CHMIELEWSKI ° JAKUB ANDRZEJ LUBER ° PAWEŁ PODLIPNIAK



MAGDALENA M. BARAN

Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

„Mury zostały wynalezione dla drażnienia uczonych.
Nigdzie nie powinno być murów”.
Juliusz Verne, *20000 mil podmorskiej żeglugi*

Wydaje się mocny, nie do przebycia. Wydaje się nie do pokonania – trudno się nań wspiąć, nie da się go przeskoczyć ani obejść. Pozornie nie ma końca, a przecież gdzieś kiedyś położono pierwszą cegłę, pierwszy kamień; gdzieś przyjdzie zatem położyć ten ostatni. Gdzieś padło pierwsze słowo, stanowiące podstawę dla podziału na „My” i „Oni”, na „swój” i „obcy”, na „przyjaciół” i „wrogów”. Gdzieś popełniono pierwszy błąd, z czyichś ust padła pierwsza półprawda, pierwsza manipulacja, pierwsze oskarżenie, pierwsza obelga, pierwszy... Mur. Wydaje się chronić, to, co odgórnie, często wręcz politycznie uznano za wartość, za coś, co wymaga bezwzględnej obrony, ochrony, zabezpieczenia. Coś, co nazwano „kruchym”, choć niekoniecznie takim się okazuje; coś, co uznano za zagrożone, choć otwartość okazać się może zbawienna; coś, co w swej radykalnej inności nie musi wbijać klina w zastanę rzeczywistość, a może ją twórczo wzbogacać, a gdy wprowadza zamiany, to głównie tu, gdzie mniej czy bardziej świadomie sami się o nie prosimy. Mur. Wydaje się odstraszać swoją masywnością, „stanowczością”, siłą stawiania oporu. Wydaje się... I właśnie „wydaje się” jest tu kluczowe, bo tak naprawdę jest czymś zupełnie innym. Pierwotne funkcje

MUR

muru fałszują obraz rzeczywistości, nie pozwalając dotrzeć do sedna; nie dając manifestować się prawdzie, ideom, czy wreszcie rzeczom/sprawom/emocjom takimi, jakimi one naprawdę są. Mur ogranicza innych, ale przecież i nas. Nie daje dostępu, a jednocześnie ogranicza postęp, jest granicą dla tych ludzi/faktów/idei, które przychodzą z zewnątrz, przez co powoduje, że kisimy się we własnym sosie, że dusimy się mitami nie do spełnienia, okładamy się symbolami, co coraz mniej znaczą. Mur kłamie. I pozwala nam okłamywać samych siebie.

Odgradzamy się jeden od drugiego, jedni od drugich, drudzy od wszystkich. Nie dostrzegamy szansy, jaka płynie z mądrego, racjonalnego, czynionego krok po kroku otwarcia. Bo nikt nie namawia na radykalną zmianę. Na wielkie BUM, co wysadzi mur, co zaprzeczy jego/naszym fundamentom, co kupą kamieni odgrodzi nas (tak, znów) od wszystkiego, co było wcześniej. A mur między nami rośnie. Rośnie za sprawą słów, zawłaszczonych wartości, wykrzywianych idei, za sprawą politycznego wrzasku, co nie daje niczego poukładać. Za dużo murów, a za mało mostów (powiadał Izaak Newton), za mało dróg wytyczonych w porozumienie, dialog, zgodę lub choćby najprostszą umowę. Na dodatek (tu Rittner) „żadne miejsce na świecie nie sprawia ludziom radości, jeśli otoczone jest dookoła grubym, wysokim murem”. Smucimy się i troskamy. Tu nie ma opcji na „budowanie czegokolwiek”, bo nie buduje się

niczego, żyjąc w paradygmacie obłączonej twierdzy. Bo gdy nawet bez większej uwagi przysłuchamy się dziś rządzącym, to każde ich słowo wznosi mur.

Mur na zewnątrz, ale też mur w sobie. Nawet groźniejszy, bo pozwalający na mozolne wznoszenie tego pierwszego; dający przyzwolenie na kolejne, coraz to bardziej niebezpieczne mury, kraty, podziały, zaprzeczenia, „więzienia”. A przecież mur kłamie. Odpadająca farba głupiej dumy i uporu, wydrapywana zaprawa zbytnej pewności siebie, zardzewiały kolczasty drut strachu o to, czego – jeśli prawdziwe i szczerze – utracić się nie da... W końcu wypadające cegły, z których każda ma imię wartości, przeciw której wzniesiono ten mur. Mur między nami. Mur, który nie ma prawa się utrzymać.

Bo mury to już tu mieliśmy. Dzięki, nie potrzebujemy kolejnych. Wykazaliśmy się niezwykłą skutecznością w ich kruszeniu, w uderzaniu w nie młotem, wybijaniu dziur, w pomaganiu murowi, „by runął”. A jednocześnie straciliśmy z oczu nowe mury, które pomału, pozornie niepostrzeżenie rosły między nami. Gdy zobaczyliśmy ich ogrom, stały się potężne, stały się groźne, stały się narzędziem podziału. Ale jeszcze mamy czas, mamy siłę, a chyba i wystarczającą rozważę, by przypomnieć sobie, że mur szkodzi. Że trzeba mu pomóc by runął.



MY I ONI, ONI I MY

6

WYJŚCIE POZA KLINCZ*Piotr Beniuszys*

18

DLACZEGO FRANCJA PŁONIE?*Anneliese Mistel*

30

CZŁOWIECZEŃSTWO KAŻDEGO CZŁOWIEKA*Magdalena M. Baran*

40

BRUKSELA DLA WSZYSTKICH*Beata Krawiec*

46

БЫСТРО!*Michael Gieleta*

IDEE I...

52

POLITYCZNOŚĆ, RACJONALIZM, DIALOG – CZ. 1*Piotr Górski*

EKONOMIA DZIŚ

72

PAKT MIGRACYJNY SZANSA, A NIE ZAGROŻENIEM*Paweł Wojciechowski*

80

MÓJ DOM, MOJE PIENIĄDZE*Maciej Chmielewski*

LEKTURY LIBERAŁA

84

W POSZUKIWANIU ODPOWIEDZI NA PALĄCE PYTANIA*Sylwia Dziemińska*

KULTURA DLA MYŚLENIA

90

OCZYWISTE NIEOCZYWISTE*Olga Brzezińska*

MŁODYM GŁOSEM

98

TKM. A TERAZ, KURWA, FASZYŚCI*Kamil Szatecki*

TRZY PO TRZY

104

DZIELĄ SIĘ!*Piotr Beniuszys*

106

COLD WAR LIBERALS*Per Ahlmark*

WIERSZ WOLNY

110

ESCHATON*Paweł Podlipniak*

WYJŚCIE POZA KLINCZ

PIOTR BENIUSZYS

Ksenofobia stała się najpoważniejszą barierą przed realizacją w kolejnych dwóch dekadach niewątpliwie istotnej, żywotnie potrzebnej, racjonalnej polityki migracyjnej. Wystraszeni Polacy, nawet skutecznie poinformowani o cenie utrzymania zamkniętych granic, mogą opowiedzieć się za relatywną biedą w warunkach „czystości rasowej”, zamiast wybrać dobrobyt na miarę wspomnianych Niemiec przy pójściu w kierunku wielokulturowego społeczeństwa.

Polska od kilku dekad dziarsko podąża za Zachodem. Liberalnie zorientowana część komentariatu w ostatnich latach z zachwyconym obserwuje wyniki badań opinii publicznej, które pokazują narastające przemiany poglądów Polek i Polaków w odniesieniu do najbardziej kontrowersyjnych (dawniej?) kwestii obyczajowych: postaw wobec osób LGBT i ich praw, wobec przerywania ciąży, wobec praw kobiet najszerszej rozumianych, wobec konsumpcji niektórych dotąd nielegalnych substancji odurzających itd. Co prawda Polskę nadal rządzi i niekoniecznie w tym roku rządzić przestanie partia skrajnie konserwatywna i idąca wszystkim tym tendencjom przemian pod prąd, to jednak światopoglądowa zmiana niesiona przez młode pokolenie wydaje się być dość wielką, tłustą i zakrywającą trzecią część nieba „jaskółką zmian”.

*

Czy jednak aby na pewno tak się stanie? Skoro Polska, pomimo przejściowych głosów liberalnego zrezygnowania i defetyzmu (które twierdziły, że aksjologiczna westernizacja Polski może nie nastąpić, bo: a) nie przerobiliśmy Oświecenia; b) zabory, okupacja i komunizm zakotwiczyły nas na wieki w narodowo-tradycjonalistycznych miazmatach, c) jesteśmy w zbyt dużej mierze mentalnie na rosyjsko-podobnym wschodzie, gdzie rządzi logika wieczności i dziejów obracających się cyklicznie w kole, co wyklucza postęp społeczny; d) wszelkie inne podobne tezy), jednak doszłusowuje do radykalnie liberalnego świata

północnoatlantyckiego, to może w jego właśnie realiach należy poszukiwać zagrożeń przyszłości, które do Polski zresztą już nadchodzą?

Otóż na szeroko pojętym Zachodzie prawicowy populizm nie zniknął. On się dostosował i zrobił to niezwykle skutecznie. Ani Marine Le Pen, ani Geert Wilders nie walczą dzisiaj o przywrócenie dyskryminacji osób LGBT w ich krajach, nie starają się o powrót do zakazu aborcji, żadnemu z nich nawet do głowy nie przyjdzie, aby formułować jakiegokolwiek antysemickie uwagi. Przeciwnie, tacy politycy stroją się w szaty obrońców praw i wolności mniejszości seksualnych, chronią dorobek emancypacji kobiet z ról przypisywanych im w patriarchalnej przeszłości, a także są gorącymi zwolennikami polityki Izraela na Bliskim Wschodzie, z czym współgra ich zaangażowanie na rzecz ochrony kulturalnego życia żydowskiego w ich krajach zgodnie z ideą wspólnej, judeochrześcijańskiej cywilizacji. Wrogiem już lata temu obwołali kogoś innego. Islam, muzułmanów i imigrację islamską do Europy. Liberalnej seksualności, wolności kobiet i żydowskich współobywateli chcą chronić właśnie w tym przede wszystkim kontekście. Bowiem w liberalnym Zachodzie nadal nie ma i długo nie będzie liberalnego konsensusu wokół problemu imigracji. W Polsce nasza rodzima populistyczna prawica właśnie odkrywa ostatecznie moc tego „politycznego złota”.

Tymczasem problem imigracji stanowi kluczowy segment polityki demograficznej, która z kolei

jest filarem podtrzymującym zarówno całą politykę socjalną, jak i znaczną część polityki makroekonomicznej. W Polsce współczynnik dzietności aktualnie wynosi 1,38 i należy do najniższych na świecie. Bijemy rekordy w zakresie spadków liczby urodzeń – w 2022 r. urodziło się w Polsce 305 000 dzieci, czyli najmniej od czasu II wojny światowej. Ale ten rok ma szansę przynieść kolejny rekord, jako że w kwietniu odnotowano rekordowo niską miesięczną liczbę urodzeń (21 000). Sytuacja jest więc coraz gorsza i już nigdy się nie poprawi.

Ma to wiele przyczyn. Przykładowo, całkowitym niepowodzeniem w sensie demograficznym okazał się program Rodzina 500+. Brak gotówki doskwierał polskim rodzinom przed jego wprowadzeniem, ale z tego powodu rządziej jeździ-

Problem imigracji stanowi kluczowy segment polityki demograficznej, która z kolei jest filarem podtrzymującym zarówno całą politykę socjalną, jak i znaczną część polityki makroekonomicznej

ły one na wakacje, miały gorzej wyposażone gospodarstwa domowe, rządziej inwestowały w odnowienie garderoby dzieci, a niekiedy – w przypadkach najbardziej ciężkich – skutkowało niedożywieniem dzieci czy brakiem adekwatnego wyposażenia do nauki szkolnej. Natomiast, co pokazały realia po wprowadzeniu

programu, w niewielu przypadkach powodował rezygnację z posiadania dzieci czy kolejnych dzieci. Pomimo programu Polki i Polacy nie zabrali się masowo do powiększania rodzin. 500+ jest więc instrumentem czysto socjalnym i narzędziem politycznym do werbowania wyborców przez partię władzy. Podwyższając świadczenie do 800 zł, PiS ma tego pełną świadomość.

Na pewno w „walce” z kryzysem demograficznym nie pomogła likwidacja rządowego finansowania programów in vitro przez PiS z przyczyn ideologicznych, która ociera się niemal o zakaz tych zabiegów. Na pewno nie pomagają antykobiece polityka, której punktem krytycznym było wprowadzenie praktycznie całkowitego zakazu aborcji w Polsce rękoma kilkunastu ludzi, którzy z niepojętych prawnie przyczyn żądają,

aby nazywać ich „trybunałem konstytucyjnym”. Pokłosie tego wydarzenia jest dramatyczne. Zgony młodych kobiet w ciąży, którym pomocy odmawiają spanikowani lekarze, czy asystowanie pacjentkom w gabinetach ginekologicznych przez policję staje się powoli smutnym „chlebem powszednim”. Przywódca partii władzy co rusz



Photo by Kevin Buckner on Unsplash

publicznie formułuje swoje chore wizje meblowania życia młodym kobietom, a to żądając, aby chrzcili zdeformowane płody, a to besztając je, że piją alkohol zamiast rodzić dzieci. Wszystko to na pewno nie zalicza się do argumentów za powiększaniem rodziny.

Także od strony infrastrukturalnej, pomimo powolnej (z naciskiem na słowo „powolnej”) poprawy, nie ma dobrych warunków do rodzenia dzieci. W Polsce nadal oferta przedszkoli, a zwłaszcza żłobków jest niewystarczająca, a kultura elastycznych form pracy rodzi się w bólach (ten proces niedługo będzie trwał przez drugie pokolenie).

Jednak, jak niezwykle trafnie zauważa raz po raz w swoich tekstach prof. Janusz A. Majcherek, to wszystko czynniki o dość nikłym przełożeniu na demograficzne wykresy. W końcu w krajach

dziś, także w Polsce, są natury kulturowej. Na całym świecie, jeśli spojrzemy na dane z ostatnich 50 lat, z łatwością zobaczymy prawidłowość, iż dzietność spada wraz ze wzrostem dobrobytu. Trudno więc równocześnie cieszyć się (lub puszyć się niczym polityk rządowy) z rosnącego dobrobytu, a jednocześnie załamywać ręce nad realiami demograficznymi.

Najmocniejszy czynnik wykluczający wyjście z demograficznego dołka jest jednak jeszcze inny. Otóż, ten pociąg dawno odjechał. Liczba urodzeń nie może już w Polsce radykalnie wzrosnąć, bo zmalała liczba Polek w wieku rozrodczym. Autor tego tekstu z dumą reprezentuje rocznik 1979, jeden z przypadających na ostatni w dziejach Polski wyż demograficzny przełomu lat 70. i 80. Mam dziś 44 lata, a najmłodsze „dzieci wyżu”, pokolenie X, właśnie kończy 40 lat. To my więc mieliśmy szansę, aby dać Polsce dużo

Najmocniejszy czynnik wykluczający wyjście z demograficznego dołka jest jednak jeszcze inny

Zachodu infrastruktura jest rozbudowana (liderem jest tutaj np. Finlandia), a prawo aborcyjne bezsprzecznie liberalne (np. w Wielkiej Brytanii). Tymczasem Finlandia ma niższy, a Wielka Brytania niewiele wyższy współczynnik dzietności od Polski (byłby podobny, gdyby odliczyć dzieci przychodzące na świat w rodzinach imigranckich). Oznacza to, że przyczyny niskiej

nowych obywateli, wykreować nowy wyż. Tylko trzeba było nam w tym pomóc 15, 20, a nawet 25 lat temu... Wtedy w Polsce nawet jeszcze poziom życia był dość niewysoki, więc i czynniki kulturowe blokujące dzietność nie musiały oddziaływać równie mocno jak teraz, gdy 68% młodych Polek nie chce lub nie wie, czy chce powiększyć rodzinę. To, do czego można było młodych przekonać

w roku 2000 czy 2006 (wybrałem te dwa lata, bo wtedy rządziła w Polsce prawica, więc coś mogła zrobić), dziś już jest poza zasięgiem. Temat zamknięty, dziękujemy za uwagę.

*

Przechodząc teraz od przyczyn do skutków, wszystko to oznacza przede wszystkim jedno. A zdanie to powinno wybrzmiewać całą mocą, jak najczęściej. Otóż – aktualne tempo rozwoju Polski, rosnący poziom zamożności kraju i jego mieszkańców, marzenia o „doścignięciu Zachodu” w sensie materialnym, marzenie o tym, że pałki TVP Info podające, iż „Niemcy zazdroszczą Polsce poziomu życia”, przestaną być fake new-

Jeśli obietnice lidera partii władzy (tego od chrzczenia zdeformowanych płodów i zarzutów „dawania w szyję”), dotyczące rychłego dogonienia Niemiec pod względem zamożności, mają być czymś więcej niż zgrabną retoryką przedwyborczą, to droga do tego prowadzi tylko i wyłącznie poprzez otwarcie naszego kraju na imigrację zarobkową, i to na wielką skalę. Tego jednak Jarosław Kaczyński nie powie.

Obecna partia władzy nie ma w zwyczaju myśleć długofalowo i skutki jej obecnej polityki dla dobrobytu Polski za 25 lat nie są czymś, o czym jej liderzy myślą, nawet mimochodem, np. w trakcie porannego golenia. Dla nich liczy się tylko

Obecna partia władzy nie ma w zwyczaju myśleć długofalowo i skutki jej obecnej polityki dla dobrobytu Polski za 25 lat nie są czymś, o czym jej liderzy myślą, nawet mimochodem, np. w trakcie porannego golenia

sem – wszystko to zostanie zaprzepaszczone i się nie ziści w realiach szybko wyludniającego się kraju i starzejącego się społeczeństwa. Jeśli sprawdzą się prognozy o spadku liczby ludności Polski do roku 2050 do 32 milionów, z których tyle samo będzie pracować, co będzie pobierać emeryturę, to nasz kraj nie osiągnie sukcesu ekonomicznego. Aktualny poziom życia może okazać się czubkiem krzywej i być wówczas wspomniany jako miniona „złota era”.

perspektywa najbliższych wyborów, a po niej kolejne cztery lata powiększania osobistych fortun z zasobów państwa. A interes wyborczy tu i teraz oraz długofalowy interes ekonomiczny kraju i obywateli wchodzi z sobą na polu polityki imigracyjnej w bezpośrednią kolizję.

W realiach kampanii przedwyborczej obserwujemy zatem klasyczne, polityczne piłowanie gałęzi, na której wszyscy siedzimy (razem z naszymi



dzieci). PiS od 2015 roku oddaje się temu zapamiętane. Tak jak zapewne nie uda się mu „ugruntować cnót niewieścich” w młodych Polkach, tak okazał się niezwykle skuteczny w ugruntowaniu w obywatelach wszystkich płci lęku przed imigracją, uchodźcami, odmiennością kulturową, religijną, etniczną i rasową. PiS – jeszcze za czasów swoich pierwszych rządów 2005-07 otwarcie wspierający uchodźców z Czeczeni – rozpalil w Polsce ogień ksenofobii i faktycznego rasizmu, a od ośmiu lat umiejętnie go podsyca, aby się tymi resentymentami wyborczo żywić. To patologiczny układ dwustronny, w którym partia infekuje obywatela paranoidalnym lękiem, pobiera od niego głos wyborczy, oferuje mu następnie utrudę bezpieczeństwa w postaci dziurawego muru na granicy, haniebnych aktów przemocy wobec przypadkowych uchodźców czy histerycznych wystąpień na forum UE w tej sprawie, a ostatecznie korzysta z utrzymującego się poparcia zalęknionych, ale wdzięcznych jej wyborców. I tak od nowa. W aktualnym sezonie politycznym doświadczymy wyjątkowo gwałtownej odsłony tego teatru, którą przyniesie idiotyczna idea niewiążącego referendum, które nie mając żadnego przełożenia na realia prawne, stanie się prostym narzędziem ekspresji nienawiści etnicznej ze strony „głosujących” w nim Polek i Polaków (i oczywiście narzędziem zaganiania ich do obozu wyborców partii władzy).

Tymczasem owa ksenofobia już teraz stała się najpoważniejszą barierą przed realizacją

w kolejnych dwóch dekadach newralgicznie istotnej, żywotnie potrzebnej, racjonalnej polityki imigracyjnej. Wystraszeni Polacy, nawet skutecznie poinformowani o cenie utrzymania zamkniętych granic, mogą opowiedzieć się za relatywną biedą w warunkach „czystości rasowej”, zamiast wybrać dobrobyt na miarę wspomnianych Niemiec przy pójściu w kierunku wielokulturowego społeczeństwa.

PiS rozpałił w Polsce ogień ksenofobii i faktycznego rasizmu, a od ośmiu lat umiejętnie go podsyca, aby się tymi resentymentami wyborczo żywić

Taka właśnie jest alternatywa. Uczciwość polityczna wymagałaby, aby to wyborcom już teraz zakomunikować. To jest, w gruncie rzeczy przecież, przedmiotem pisowskiego referendum.

Gdy nikt nie patrzy, PiS sygnalizuje, że rozumie to położenie. Stara się więc stawiać Bogu świeczkę, skoro od lat daje diabłu ogarek. To dlatego polskie granice są faktycznie szeroko otwarte dla pracowników przyjezdnych („gastarbeiterów”) z różnych, w tym także muzułmańskich krajów. Do Polski nie ściągają bynajmniej tylko Ukraińcy i Białorusini. Głośne stały się sprawy rozporządzenia MSZ o radykalnych ułatwieniach w polityce wizowej dla setek tysięcy pracowników zagranicznych (z tego PiS się w popłochu wycofał) oraz miasteczka imigranckiego, które w kontenerach zbudował dla swojej inwestycji

kontrolowany przez PiS Orlen (ten projekt trwa, mimo skierowania nań uwagi opinii publicznej, zatem PiS podejmuje ryzyko w imię potrzeb gospodarki, gdy musi). Rzecznik rządu stara się bronić tego rozdwojenia pisowskiej jaźni, mówiąc, że nie można zestawiać uchodźców usiłujących nielegalnie wejść do Polski przez „zieloną granicę” z legalnymi pracownikami przyjezdny-

mi. Jednak to retoryka PiS, retoryka siania lęku przed odmiennością kulturową, przed gottami imigranckimi w miastach, przed „no-go zones” w Szwecji, płonącymi samochodami we Francji, molestowaniem białych kobiet w Niemczech, pozwala takie zestawienia robić. Czy rzecznik i jego przełożeni z PiS wystąpią i zagwarantują swoim wystraszonemu wyborcom, że imigrant sprowadzony przez PiS będzie imigrantem pożytecznym i łatwo się integrującym, podczas gdy na ulicach siał terror będą w tym samym czasie (dużo mniej liczni) imigranci relokowani przez Unię przy akceptacji opozycji? To raczej nie wygląda na poważne traktowanie ludzi.

*

W tym samym czasie główna siła opozycji, Koalicja Obywatelska, wydaje się – w kontekście

polityki imigracyjnej – cierpieć na „traumę roku 2015”, gdy antyuchodźcza narracja PiS najpewniej odebrała jej rządowi władzę. Trudno się w sumie dziwić. Można także rozumnie argumentować, że choć polityka imigracyjna powoli narasta do rangi kluczowej w perspektywie roku 2035 czy 2050, to jednak w perspektywie lat 2023-27 kluczowa jest zmiana reżimu w Warszawie. Trzecia kadencja PiS to realne ryzyko zaprowadzenia w pełni autorytarnego ustroju w Polsce, w którym skończy się „rumakowanie” w postaci rzeczywistych, konkurencyjnych wyborów, a PiS będzie rządził przez kilka dekad, dowolnie decydując o zasadach imigracji, tak jak mu to będzie akurat odpowiadać, już się na elektorat nie oglądając (bo po co?). Tak, na tle wyzwań ustrojowych nawet polityka imigracyjna na razie jeszcze musi zo-

KO wybrała ścieżkę wchodzenia z PiS w licytację odnośnie polityki imigracyjnej . Donald Tusk miejscami robił wrażenie oburzonego tym, jak wielu imigrantów z krajów np. arabskich chce do Polski sprowadzić PiS

stać odsunięta na drugie miejsce. Wygrana w wyborach i odbudowa liberalnej demokracji uświęca środki poświęconych jej celów.

KO w efekcie wybrała ścieżkę wchodzenia z PiS w licytację odnośnie polityki imigracyjnej (co przypomina jej, wcześniej już widoczną, strategię nie mniej ekonomicznie szkodliwej licytacji

z PiS na polu polityki socjalnej). Donald Tusk miejscami robił wrażenie oburzonego tym, jak wielu imigrantów z krajów np. arabskich chce do Polski sprowadzić PiS. Nawet jeśli chodziło głównie o obnażenie monstrualnej hipokryzji partii Kaczyńskiego, to jednak zostało wrażenie, że oczko zostało tutaj puszczone.

Główna partia KO, czyli rządząca do 2015 r. Platforma Obywatelska, do dziś się jeszcze zmagając z wizerunkiem partii nie dotrzymującej obietnic (głównie z powodu podniesienia wieku emerytalnego oraz faktycznej likwidacji OFE). Występując ostro i licytując się z PiS w kwestii imigracji, zastawił na siebie jednak poważną pułapkę na przyszłość. Trudno założyć, że będąc świadomym realiów demograficzno-ekonomicz-

nych i rządząc Polską przykładowo przez dwie kadencje do 2031 r. będzie mogła prowadzić politykę zamkniętych granic, szczególnie wobec planów naprawy relacji z partnerami w UE i powrotu do centrum decyzyjnego w strukturach unijnych, skąd Polskę na margines wypchnęła postawa PiS. PO musi się więc obawiać, że konieczne kompromisy na polu imigracji z UE czy po prostu



własna, krajowa polityka pozyskiwania atrakcyjnej siły roboczej w „egzotycznych” krajach (np. według modelu kanadyjskiego i brytyjskiego, gdzie pozwolenie na pracę i przyjazd otrzymuje się w ramach systemu punktowego, opartego o indywidualne kwalifikacje potencjalnego imigranta) zostaną odczytane jako „złamanie obietnic przedwyborczych” przez partię, która zanim przejęła władzę, aspirowała do wizerunku twardego „obrońcy polskich granic”. Ponowne podpadnięcie pod kategorię wyborczych „kłamców” grozi Platformie ostatecznym już „scancelowaniem”. To kolosalne ryzyko, którego np. we Francji nie uniknęła partia umiarkowanej prawicy po epoce Nicolasa Sarkozy’ego.

*

Co jest potrzebne? Polska potrzebuje czegoś, co wydaje się niestety niezwykle mało prawdopodobne obecnie i w najbliższych latach. Jesteśmy całkowicie sparaliżowani irracjonalnym poziomem wzajemnej nienawiści politycznej. Tymczasem, dla osiągnięcia celów wzbogacenia się

do poziomu najmocniejszych w Europie, dokąd droga wiedzie poprzez sprowadzenie do nas nawet kilku milionów ambitnych, wykwalifikowanych i chętnych do pracy imigrantów, potrzebujemy wyprowadzenia polityki imigracyjnej poza logikę partyjnego kłinczu.

Tak samo jak fundamentalnie istotnym było, aby w latach 90. i potem do akcesji w 2004 r. poza partyjny kłincz wyprowadzić politykę zagraniczną i prozachodnią (gdyż strategicznym celem było wejście do NATO i UE). Jak ważnym jest, aby od lutego 2022 mieć konsensus wokół polityki obronnej i oceny geopolitycznej, tak w najbliższych dekadach konieczna będzie ponadpartyjna zgoda na określony, przemyślany, kompromisowy i skuteczny model sprowadzania do Polski imigrantów.

Od tego nade wszystko zależy, czy nasze dzieci i wnuki czeka życie w dobrobycie, czy nadal będą aspirować do pracy kelnera we Włoszech lub przy zbieraniu szparagów w Niemczech. ●



PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, tłumacz, specjalista w dziedzinie historii liberalizmu i ewolucji zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!”, pisał także na łamach „Gazety Wyborczej”, tygodnika „Polityka”, „Dziennika Gazety Prawnej” oraz dla Instytutu Obywatelskiego. Autor książki „Bariery dla liberalizmu. Antologia tekstów” (Biblioteka Liberte, 2022).
Twitter: @piotr_beniuszys

DLACZEGO FRANCJA PŁONIE?

ANNELIESE MISTEL

W ostatnich tygodniach Polskę obiegły doniesienia o dramatycznych wydarzeniach we Francji. Rozbój, zrabowane sklepy, podpalone samochody nie są czymś, do czego przywykli Polacy. PiS chętnie wykorzystuje to zaskoczenie, grając na strachu opowieściami o zgubnych skutkach wpuszczania imigrantów z krajów muzułmańskich, traktując obrazki z Francji jako przestrożę przed wielokulturowym społeczeństwem. To co można było zobaczyć w wiadomościach wyglądało apokaliptycznie, ale czy faktycznie oznacza, że Francja przeżywa swój upadek?

Śmierć Nahela M.

Wydarzenia z 27 czerwca wyglądały w dużym skrócie tak: policjanci zatrzymali żółtego Mercedesa za łamanie przepisów drogowych. Jak twierdzą, wyciągnęli broń po to, żeby nakłonić kierowcę, 17-letniego Nahela M., do wyłączenia silnika. Z kolei według współpasażerów zamordowanego nastolatka, funkcjonariusze byli agresywni, zaczęli chłopaka uderzać bronią z dwóch stron, grożąc mu śmiercią, aż jego noga zsunęła się z hamulca, a ponieważ samochód miał automatyczną skrzynię biegów, momentalnie ruszył. W momencie doprowadzającego do śmierci chłopaka strzału, obie wersje stają się zbieżne. Co ciekawe, samochód będący punktem centralnym tej tragedii, został zarejestrowany w Polsce. Policjantów zatrzymano, jeden z nich jest oskarżony o zabójstwo.

We Francji mało kiedy niezadowoleniu społecznemu nie towarzyszą manifestacje. Zamieszki to stały element protestów we Francji. Niewątpliwie ludzie są już do tego mniej lub bardziej przyzwyczajeni, ale to, co zaskoczyło tym razem, to fakt, że zaatakowano również budynki mieszkalne i użytku publicznego. Zatarła się granica między tym, co reprezentuje państwo i lud. Nie było taryf ulgowych. Były mer Bondy, jednego z tzw. „popularnych” przedmieść, gdzie mieszkają najbiedniejsi, nie ukrywa zdruzgotania po obejrzeniu filmów z grabieży lokalnych sklepów sieci Darty i Conforama, gdzie „każda rodzina w Bondy zna kogoś, kto tam pracuje”.

Grupy młodych, przeważnie zamaskowanych zadymiarzy nie tylko brały udział w starciach z policją, ale też rozbijały szyby, okradały sklepy, podpalały i dewastowały budynki, stanowiąc zagrożenie dla zwykłych ludzi. Zaczęły pojawiać się kartki z prośbami, żeby nie niszczyć mienia prywatnego, niektórzy prosili wprost. Na jednym z nagrań z Villeurbanne widać kobietę idącą w stronę zamaskowanej grupy, krzyczącą błagalnie, by oszczędzili szkołę. Największy szok wzbudziła jednak napad na dom mera podparyskiej miejscowości L'Hay-les-Roses, Vincenta Jeanbruna. Agresywni uczestnicy zamieszek staranowali ogrodzenie posesji samochodem, który następnie podpalili. Przebywająca wówczas w domu żona mera uciekła z dwójką małych dzieci do ogrodu sąsiada. Jest ranna, jeden z maluchów również. Sprawę zakwalifikowano jako usiłowanie zabójstwa. Słusznie.

Nikt nie protestuje przeciwko wymierzaniu sprawiedliwości przestępcom. Nie ma wątpliwości, że zatrzymani sprawcy na nią zasłużyli. Jednocześnie pojawiają się pytania o to, kim są tak naprawdę, a przede wszystkim, dlaczego zrobili to, co zrobili. Dziennik „Le Monde” postanowił to sprawdzić, zadając pytania osobom skazanym, dlaczego wzięły udział w rozboju. Odpowiedzi szokują. Nie wyłania się z nich, jak pragnęliby populiści, chaotyczna grupa muzułmanów z zagranicy, ale młodzi ludzie, którym najwyraźniej czegoś brakuje w życiu. Jedni pracują, inni to uczniowie szkół zawodowych, jeszcze inni to licealiści. Zdarzają się też pracujący na czarno imigranci. Jednym z nich jest niekarany

wcześniej 35-letni pomocnik rzeźnika Mohamed z podparyskiego Créteil. Przybył z Algierii w 2017 roku, na co populiści zapewne mogliby zacierać ręce, ale w jego motywacji próżno szukać czegośkolwiek związanego z inną kulturą czy islamem. Wyszedł po piwo. W trakcie okolicznych zamieszek był pijany i dlatego wrzucił palącą się koszulkę przez wybite szyby do ciężarówki. Został za to skazany na sześć miesięcy pozbawienia wolności. Kolejny przypadek 19-letniego Yannisa, bezrobotnego bezdomnego, wyrzuconego przez przemocowego ojca z domu. Zazwyczaj spał pod mostem, ale jego materac był przemoczony, więc chciał znaleźć schronienie w sklepie Lacoste. Zapytany przez sąd, dlaczego w ogóle zdecydował się

brakuje tłumaczeń „wszyscy brali, to też wziąłem”. 27-letni Jérôme z Marsylii, mający przejąć firmę po ojcu, jest sądzony za kradzież dżinsów ze sklepu Hugo Bossa. Nie brał udziału w napaści. Po prostu wziął spodnie rzucone przez kogoś na ulicę. Teraz żałuje. Pewnie podobny los spotkał dziewczynę widoczną na nagraniu z rabunku sklepu Zara w Strasbourgu, wynoszącą ubrania. Umalowana, schludna, bez zakrytej twarzy. Nie wygląda jakby planowała się tam znaleźć. Raczej to nie ona rozbiła szyby, a „tylko” skorzystała z okazji.

Oczywiście, wśród skazanych trafiają się również tacy, którzy chcieli po prostu wywołać bójki z policją. Jordan, lat 28, rzucał materiałami pirotechnicz-

Odpowiedzi szokują. Nie wyłania się z nich, jak pragnęliby populiści, chaotyczna grupa muzułmanów z zagranicy, ale młodzi ludzie, którym najwyraźniej czegoś brakuje w życiu

na spanie w okradzionym sklepie, powiedział, że dla niego to jak urbex, czyli eksplorowanie opuszczonych budynków. Wycofano oskarżenie o kradzież, zostawiając tylko znieważenie policji i stawianie oporu. Inny bezdomny, Michel z Marsylii, został zatrzymany przy wyjściu z okradanego supermarketu, skąd wynosił brzoskwinie i morele. Do kradzieży skłoniła go tęsknota za owocami, których nie jadł od roku. Niektórzy po prostu ulegli pokusie wejścia w posiadanie rzeczy za darmo. Nie

nymi w żandarmów za to, że dostał od nich mandat za hałasowanie. Osiemnastoletni Adrien rzucił granatem z gazem łzawiącym. Z kolei 19-letni Abo-dramane, uczący się w zawodówce na elektryka, odpierając zarzuty, twierdził, że nie brał udziału w zamieszkach. Przeczą temu znalezione na Snapchacie wiadomości z godziną i miejscem spotkania, a także nagrania aktów przemocy. Niekarany wcześniej. Choć wyłania się z tego obraz bezsensownej agresji powodowanej niedojrzałością,



Photo by Koshu Kumii on Unsplash

wielu zadaje sobie pytanie: „Dlaczego?” Skąd w młodych ludziach aż tak przemożna chęć niszczenia, coraz bardziej wymykająca się spod kontroli. Nie znajdzie się tu jednak żadnej manifestacji odrębności religijnej czy kulturowej, jak sugeruje skrajna prawica.

Nieprzenikające się dwa światy

Przepaść społeczna między „popularnymi” przedmieściami a resztą kraju jest ogromna.

Obserwujący napięcia w tych rejonach obwiniają za ten stan trwającą od lat gettoizację. Biedne rejony tworzą rządzącą się innymi prawami hermetyczną rzeczywistość. Bezrobocie utrzymuje się na wyższym poziomie niż w innych miejscach. Często najlepszą karierą, na jaką można liczyć, to kierowca Ubera. Handel narkotykami może wydawać się w porównaniu z tym dość kuszącą opcją, mając na uwadze wysokość zarobków, raczej nieosiągalnych w legalny sposób. Wielu młodych

ludzi z „popularnych” przedmieść przedwcześnie rzuca szkołę, ponieważ nie widzi w niej realnych perspektyw. Według sędziego Youssef Badr skazani w wieku 20-25 lat, z którymi miał styczność, w większości skończyli edukację bardzo wcześnie, ponieważ, jak sami przyznają, zeszli na złą drogę.

Przepracowani rodzice, często wykonujący wymagające czasowo oraz fizycznie zajęcia, nierzadko też w ciężkiej sytuacji życiowej, nie mają

wsparcia, trudną młodzieżą, właściwie pozostawioną samą sobie. Tym bardziej, że często sami pochodzą z innego środowiska. Ci, którzy mieli trochę więcej szczęścia i trafili jakimś cudem do lepszych szkół (np. ze względu na czasowe mieszkanie w innym miejscu, dające jednocześnie możliwość kształcenia na wyższym poziomie) nauczyli się jak się dopasowywać, by móc swobodnie poruszać się po dwóch nieprzenikających się światach. Dla działaczy społecznych zajmujących się

Skąd w młodych ludziach aż tak przemożna chęć niszczenia, coraz bardziej wymykająca się spod kontroli. Nie znajdzie się tu jednak żadnej manifestacji odrębności religijnej czy kulturowej, jak sugeruje skrajna prawica

możliwości poświęcić wystarczająco dużo uwagi swoim dzieciom. Dziewczęta częściej przebywają w domach, a chłopcy głównie poza. Przestrzeń zewnętrzna staje się ich nieformalnym królestwem, gdzie w jakimś sensie pełnią władzę. Tam udowadniają swoją wartość, walcząc o pozycję, choćby poprzez bunt. Żyją w świecie stereotypów podobnie jak dziewczęta, dla których ucieczką od powielenia losów swoich rodziców stanowi najczęściej szkoła.

Niestety edukacja w „popularnych” przedmieściach jest na fatalnym poziomie. Nauczyciele często nie umieją pracować z wymagającą

pomocą osobom z „popularnych” przedmieść to podstawowa umiejętność, umożliwiająca porozumienie.

Skrajna prawica, do której obecnie dołączyła partia Republikanów, rozwiązania problemu upatruje w zaostrzeniu prawa migracyjnego dla osób spoza Unii Europejskiej, jednocześnie nie ukrywając, że jej celem są głównie osoby przybywające z Afryki oraz krajów muzułmańskich. Choć Zgromadzenie Narodowe bardziej obserwuje niż zabiera głos, wie, ile może ugrać na strachu. Pomocny w tym zadaniu staje się Éric Zemmour ogłaszający „wojny cywilizacji” i mówiący o biednych

przedmieściach jako o „obcych enklawach”. Podobnie jak przewodniczący Republikanów w Senacie, Bruno Retailleau, który w związku z zamieszkami mówi o „regresie w kierunku pochodzenia etnicznego” w odniesieniu do drugiego i trzeciego pokolenia imigrantów. Niestety są to opinie rugujące ze świadomości konieczność zmierzenia się z faktem, że problemy mieszkańców przedmieść są nieustannie spychane na margines, o którym bogatsze warstwy społeczeństwa nie chcą wiedzieć.

Oprócz młodzieńczej inklinacji do głupich, nieodpowiedzialnych zachowań, zamieszki niewątpliwie stanowią ujście akumulującego się od lat poczucia niesprawiedliwości i rasizmu systemowego

Faktycznie, pierwsze pokolenie mogło przyjechać do Francji w nadziei na lepsze życie, ale dzieci czy wnuki już tej perspektywy nie znają. Za to boleśnie odczuwają, że choć są prawnie Francuzami, funkcjonują jako obywatele gorszej kategorii, stając się obcymi we własnym państwie. Kultura, w jakiej żyją, jest obca, ale nie przyszła zza granicy. Powstała z biedy i towarzyszącego jej wykluczenia. Samorządowcy z „popularnych” przedmieść apelują o zrozumienie, przekonując, że likwidowanie zasłków czy zaostrzenie prawa imigracyjnego nie rozwiąże problemu zakorzenionego głównie w braku edukacji, a jedynie może pogłębić istniejące podziały. Wskazują również na konieczność większej koegzystencji, by osoby z różnych warstw społecznych miały ze sobą styczność, co przyczyniłoby się

do niwelowania różnic i wyrównywania szans (np. w bardziej zbliżonym poziomie edukacji).

Niestety, prawda dla wielu osób jest niewygodna. Łatwiej odciążyć kolektywne sumienie, jeśli przyjmie się, że zagrożenie było importowane, a nie pojawiło się ze względu za to, że państwo gdzieś zawiodło. Dlatego skrajnie prawicowa retoryka nierzadko pada na podatny grunt, o czym świadczy chociażby wynik zbiórki dla policjanta, zabójcy Nahela,

zapoczątkowanej przez nacjonalistę Jeana Messihę (związanego poprzednio ze Zgromadzeniem Narodowym Marine Le Pen, a obecnie ze skrajnie prawicową partią Rekonkwista Érica Zemmoura) – 1,6 miliona euro. Ponieważ zbiórka dla rodziny zamordowanego nastolatka osiągnęła o wiele gorszy wynik, Messiha umieścił tweeta, w którym cieszy się z pokonania „lewackich-progresistów”, jego zdaniem „szokowanych cichym powstaniem Francji wspierającej swoją policję w reakcji na powstanie nie-Francji”. Rodzina Nahela chce złożyć skargę na zbiórkę Messihy, a aktywiści apelują do GoFundMe, by usunęli „zbiórkę wstydu”. Warto w tym miejscu wspomnieć o oburzeniu urodzonego w Egipcie Messihy, gdy w 2017 roku został poinformowany na Twitterze przez konto związane



z telewizją ARTE, że według statystyk, każdy kto nie urodził się Francuzem liczy się jako imigrant, nawet jeśli był naturalizowany. Czyżby była to gorliwość neofity, obawiającego się zakwalifikowania do tej drugiej, gorszej kategorii?

Gniew w stanie zapalnym

Oprócz młodszej inklinacji do głupich, nieodpowiedzialnych zachowań, zamieszki niewątpliwie stanowiły ujście akumulującego się od lat poczucia niesprawiedliwości i rasizmu systemowego. Histo-

ria zresztą zatoczyła koło. Cały czas żyje pamięć podobnych wydarzeń z 2005 roku w Clichy-sous-Bois, gdy grupa nastolatków, wracając ze stadionu, przechodziła koło placu budowy. Pracownik sąsiadującego domu pogrzebowego, podejrzewając, że ci młodzi ludzie mogą być złodziejami, zawiadomił policję. Gdy chłopcy zobaczyli funkcjonariuszy z bronią, zaczęli uciekać. Trzech ukryło się w stacji transformatorowej, co doprowadziło do tragedii. Dwóch zostało śmiertelnie porażonych prądem, trzeci został uratowany, choć doznał bardzo ciężkich oparzeń. Tragiczna śmierć Zyeda Benny i Bouny Traoré'ego doprowadziła do ogromnych zamieszek w kraju. Dwa lata później miejscowością Villiers-le-Bel, w departamencie Val-d'Oise, wstrząsnął kolejny wypadek z udziałem policji. Prowadzony z nadmierną prędkością radiowóz śmiertel-

zmarł 24-letni Adama Traoré (zbieżność nazwisk przypadkowa) w wyniku brutalnego aresztowania przez funkcjonariuszy. Żandarmi chcieli zatrzymać jego brata Bagui. Adama, który przebywał razem z bratem, nie stanowił przedmiotu zainteresowania funkcjonariuszy, ale nie miał przy sobie dokumentu tożsamości (jak zeznaje rodzina, złożył podanie o wyrobienie nowego dowodu, a następnego dnia po zatrzymaniu powiadomiono, że jest gotowy do odbioru). Podjął próbę ucieczki, jednak został złapany i pobity. Jeden z żandarmów miał go przygnieść swoim ciężarem do ziemi. Zgon nastąpił w wyniku uduszenia. Jak wynika z raportów medycznych, przyczyniły się do tego obrażenia poniesione w wyniku napaści. We Francji, Adama Traoré stał się symbolem policyjnej przemocy analogicznym do George'a Floyda, a w reakcji na

Resentyment wśród biedniejszych, zwłaszcza o ciemniejszym kolorze skóry rośnie wraz ze świadomością o statusie obywatela drugiej kategorii. Niesprawiedliwość znieczula też na przemoc

nie potrafił dwoje nastoletnich chłopców jadących na motorynce. Prawie pięć lat zajęło lokalnej społeczności postawienie policjantów uczestniczących w wypadku przed wymiarem sprawiedliwości za fałszywe zeznania w sprawie prędkości.

Kolejna fala niezadowolenia wylała się w 2016 roku, gdy na posterunku żandarmerii w Persan

wydarzenia w Stanach Zjednoczonych zorganizowano marsz w imieniu Adamy, który zgromadził ponad 20 000 osób pomimo zakazu ze względu na zagrożenie pandemiczne. Podobny marsz odbył się teraz, 8 lipca na placu République w Paryżu. Znowu nielegalnie, ale tym razem ze względu na sytuację spowodowaną zamieszkami. W mediach społecznościowych pojawiły się nagrania

brutalnych zatrzymań przez specjalną zmotoryzowaną jednostkę policji BRAV-M, powołaną do reagowania w przypadku manifestacji, oskarżaną o agresywność. Nietrudno te zarzuty zrozumieć. Wśród nagrań obiegających sieć można zobaczyć między innymi, jak funkcjonariusze z BRAV-M biją niezależnego dziennikarza Clémenta Lanota, na innym – zbiorowo rzucają się na mężczyznę. Nieustannej krytyce podlega również fakt, że bez takich nagrań w wielu wypadkach nie byłoby mowy o jakimkolwiek dochodzeniu sprawiedliwości. Nie wiadomo, czy byłoby możliwe nagłośnienie śmierci Nahela, gdyby młoda kobieta nie na-

zaprzeczali. W następstwie tych wydarzeń Emmanuel Macron wycofał się z propozycji kontrowersyjnego prawa, mającego zabraniać filmować funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa. Takie rozwiązanie miało zapewniać im oraz ich rodzinom ochronę przed ewentualnymi prześladowaniami. Ale w takim wypadku, kto zapewni ochronę obywatelom, siłą rzeczy nie będącym w stanie obronić się innymi środkami przed niesprawiedliwością ze strony służb?

Resentyment wśród biedniejszych, zwłaszcza o ciemniejszym kolorze skóry rośnie wraz ze świa-

Dopóki jednak Francja nie przestanie rugować ze świadomości tej niewygodnej prawdy, dopóty będzie żyć od zamieszek do zamieszek, a płonące samochody będą bardziej rozpoznawalnym symbolem niż bagietki

grała całego zajścia i nie opublikowała go w sieci. Wieczorem 21 listopada 2020 roku, czarnoskóry producent muzyczny, Michel Zecler, wracał do swojego studia nagrań, gdy dwóch policjantów zatrzymało go za brak maseczki. Policjanci aresztowali go za stawianie oporu i przemoc wobec służb porządkowych. W studiu jednak znajdowały się kamery, które zarejestrowały całe zdarzenie, gdzie widać jak Zecler był kopany i bity przez funkcjonariuszy przez 6 minut, wbrew ich wersji zdarzeń. Producent zeznał również, że został nazwany „brudnym czarnuchem”, czemu policjanci również

domością o statusie obywatela drugiej kategorii. Niesprawiedliwość znieczula też na przemoc. Ali Soumaré, rzecznik rodzin w Villiers-le-Bel, przypomina niepokoje po wspomnianym wypadku z radiowozem w 2007 roku, gdy widział matki pozwalające swoim synom przenosić kosze na śmieci w celu ich podpalenia, w czym dostrzega „pewien rodzaj nienawiści i wściekłości pomieszanych z rywalizacją”. Gdy państwo zawodzi, a wręcz staje się wrogiem, łatwo o szukanie ratunku gdziekolwiek można go znaleźć, niezależnie od formy, jaką przyjmuje. Dlatego w tych środowiskach rozwijał



Photo by Florian Olivo on Unsplash

się religijny radykalizm, ponieważ stwarzał przeszeń, w której dyskryminowani na co dzień mieli możliwość odzyskać godność. Według opublikowanych w lutym wyników sondażu Rady Reprezentatywnej Osób Czarnoskórych, 9 na 10 osób czarnoskórych doświadcza dyskryminacji rasowej. To samo badanie wskazuje, że jedna trzecia Francuzów (31%) zareagowałaby „źle”, gdyby ich dziecko poślubiło osobę czarnoskórą, a prawie połowa (46%), jeśli byłaby to osoba pochodzenia maghrebskiego (w przypadku osób tej samej płci niezadowolone wyraziłoby 36% ankietowanych). Dominacja osób o ciemniejszej karnacji w biedniejszych dzielnicach jest faktem, tak samo jak gettoizacja tych rejonów, ale nie wynika to, jak sugerują populiści, z ich niechęci do asymilacji, ale ograniczonego dostępu do awansu społecznego czy samej akceptacji. Oczywiście, wśród bogatszych Francuzów również można spotkać osoby czarnoskóre bądź pochodzenia maghrebskiego, ale z perspektywy skali makro należą do mniejszości, której udało się przebić przez dostęp do lepszej edukacji czy mniejszy lub większy tęt szczęścia. Aczkolwiek nie oznacza to, że nigdy nie spotykają

się z rasizmem, a nierzadko dochodzi do tego również odrzucenie przez tych biedniejszych, którzy postrzegają sukces społeczny jako zdradę.

Niewątpliwie pomysły populistów dyskryminacji imigrantów czy marginalizowania islamu nie są niczym innym niż chwytem propagandowym, bazującym na strachu reszty społeczeństwa, podobnym do straszenia chorobami wywoływanymi rzekomo przez maszty 5G. Nie przyczynią się w żaden sposób do zwalczania problemu, a nawet wręcz przeciwnie, doprowadzą do jego pogłębienia. Nie ma innego rozwiązania niż łączenie ze sobą dwóch, obecnie obcych sobie, światów mozolną pracą w postaci zasypywania nierówności, większego przemieszania społecznego, lepszej edukacji dla biedniejszych, a przede wszystkim aktywna praca na rzecz rozmontowywania krzywdzących stereotypów. Dopóki jednak Francja nie przestanie rugować ze świadomości tej niewygodnej prawdy, dopóty będzie żyć od zamieszek do zamieszek, a płonące samochody będą bardziej rozpoznawalnym symbolem niż bagietki. ●

„Antropocen dla początkujących” w Bibliotece Liberté!

Prędzej czy później każdy z nas zmuszony będzie zmierzyć się z pytaniem: czy odnajdę w sobie wystarczająco dużo odwagi i roztropności, by zapobiec zniszczeniu się najczarniejszego scenariusza katastrofy ekologicznej?

„Antropocen dla początkujących” to zbiór literacko-reporterskich rozważań o tym, jak kwestie środowiska naturalnego łączą się z zagadnieniami społeczno-politycznymi, gospodarczymi i kulturalnymi. Autor zabiera czytelników w podróż po zmieniającym się świecie epoki człowieka, w sposób wielowymiarowy ukazując skalę wyzwań i problemów, przed jakimi stawia nas postępujący antropocen.

Eseje Juraszka są opowieścią o tym, co bezpowrotnie utraciliśmy, ale również o tym, co wciąż jeszcze zyskać możemy. O zaprzepaszczonej szansach, ale i nadziejach na nowy, lepszy początek.



ANNELIESE MISTEL

Publicystka, orientalistka, z zamiłowania historyczka, absolwentka wydziału orientalistycznego na Uniwersytecie Warszawskim, tytuł magistra japonistyki uzyskała na Uniwersytecie Diderota w Paryżu. Od wielu lat związana z Francją, w której mieszka na stałe od 2017 roku.

CZŁOWIECZEŃSTWO KAŻDEGO CZŁOWIEKA

MAGDALENA M. BARAN

„Podstawowym obowiązkiem intelektualisty jest myśleć i mówić prawdę.
(...) Myśleć to znaczy zastanawiać się nad tym,
kim jesteśmy i jaka jest otaczająca rzeczywistość.
Oznacza to siłą rzeczy odpowiedzialność za słowo”.
Zbigniew Herbert

Tuż za bramą trzeba skręcić w prawo i iść wzdłuż muru. Miejsce trochę na końcu świata. Po drodze mijam dwa, może trzy samochody. Na cmentarzu cisza. Słychać szum drzew, czasem odzywają się ptaki, kiedy indziej brzęczy pszczoła. Kolejne groby znaczne półksiężycem, tylko tym różniące się od nagrobków na cmentarzach katolickich. Jeden znak. Groby uchodźców, tych co zmarli z wychłodzenia w lesie przy granicy, tych co utonęli w rzece, wyróżniają się samotnością. Jest ich siedem. Niewiele wobec szacunków wskazujących, iż na granicy śmierć spotkała przynajmniej pięćdziesiąt osób. Ale są. Wspólnota muzułmańska użyczyła miejsca na cmentarzu w Bohonikach swoim braciom, którzy poszukiwali lepszego życia, uciekali przed prześladowaniem, przed wojną, przed chaosem, przed strachem. Którzy zderzyli się z kłamstwem, złudną obietnicą, brakiem współczucia, lekceważeniem prawa; którzy stali się narzędziami w wojnie hybrydowej; którzy miast życia spotkali śmierć. Od starożytności wiemy, że prawo boskie nakazuje pochować zmarłych. Tragiczny los Antygony pozostaje wskazówką. Dla chrześcijan pochówek jest czynkiem miłosierdzia wobec ciała, ostatnim czynem współczucia. Dla etycznie myślących... jest powinnością moralną. Ostatecznym gestem, jaki wykonujemy wobec cierpienia i śmierci. Ostatecznym świadectwem szacunku wobec niezbywalnego człowieczeństwa każdego człowieka. Już podczas poprzedniego kryzysu uchodźczego z roku 2015 dało się słyszeć głosy, że skoro w Polsce nie przyjmujemy

żywych, to przynajmniej „powinniśmy pochować te trupy”.

Minęło osiem lat, a my wciąż jesteśmy w tym samym miejscu. Ba, jest gorzej, bo kryzys na granicy polsko-białoruskiej stał się narzędziem politycznym pogłębiającym podziały i podsycającym strach przed migrantami. Szczęśliwie i tragicznie zarazem, ten kryzys ujawnił też dobrą wolę innych – tych, którzy niestrudzenie pomagają uchodźcom i migrantom przy granicy; tych, których opowieści możemy dziś przeczytać choćby w doskonałej książce Mikołaja Grynberga *Jezus umarł w Polsce*, w relacjach o tym, co naprawdę wydarza się między ludźmi. Gdzieś w tle rozgrzeszamy się wojną za naszą wschodnią granicą; rządzący niczym mantrą powtarzają liczby ukraińskich uchodźców, którzy znaleźli schronienie w domach polskich obywateli; uniewinniamy się również, bo – jak pisał Zygmunt Bauman w książce *Obcy u naszych drzwi* – „natura szoku polega na tym, że z czasem przemienia się on w nudną rutynę normalności, a moralna panika ulega wyczerpaniu”. Czas – choć nie powinien – znieczula. Paradoksalnie może i szczęśliwie, bo dzięki owemu „wyczerpaniu” straszenie uchodźcami, które miało być narzędziem rządzących w rozpoczętej właśnie oficjalnie kampanii wyborczej, może nie mieć już aż takiej siły rażenia. Przechodzony mechanizm nie zadziałał w przewidywany sposób, co nie znaczy, że całkowicie znikł nam z oczu. Ba, choć gra ludzkim losem jest po prostu niegodna, nie znaczy, że na

dobrze żegnamy się z nią w kampanijnej narracji partii władzy.

Polski rząd, tak chwalcący się „staniem na wysokości zadania” w kwestii uchodźców z Ukrainy przegrał coś jeszcze. Nie docenił bowiem ani własnych obywateli, ani skali „zmęczenia empatycznego”. Miast budować poczucie społecznego bezpieczeństwa starał się nam je odebrać... strasząc. Zapomniał przy tym o wartościach, które tak lubi wciągać na swoje sztandary. O sprawiedliwości, solidarności, odpowiedzialności czy wreszcie trosce o ludzką godność/podmiotowość/wartość (w tym „wartość każdego życia”). Zastonę milczenia spuszczone nawet na słowa

chorób nie ma tu ani słowa. Co więcej, migranci – czytamy w tym samym orędziu – „powinni oni doznawać przyjęcia tak serdecznego i bezinteresownego”. Wyrazem takiego przyjęcia nie jest budowa muru, nie jest skazywanie ludzi na węgietę, na zagrożenie życia. Wyrazem takiego przyjęcia nie są *pushbacki*. Te ostatnie są niezgodne zarówno z przepisami prawa krajowego, w tym z Konstytucją RP, jak i z wiążącymi Polskę umowami międzynarodowymi, w tym z Konwencją genewską dotyczącą statusu uchodźców z roku 1951 oraz z zawartą w Karcie Praw Podstawowych UE zasadą *non-refoulement*, zgodnie z którą państwo nie może wywalić lub zawrócić uchodźcy do granicy terytoriów, gdzie mógłby

Minęło osiem lat, a my wciąż jesteśmy w tym samym miejscu. Ba, jest gorzej, bo kryzys na granicy polsko-białoruskiej stał się narzędziem politycznym pogłębiającym podziały i podsycającym strach przed migrantami

tak przecież „bronionego” i „szanowanego” Jana Pawła II, który już w roku 1987, w orędziu na Światowy Dzień Migranta podkreślał, że wyrazem katolicyzmu jest gościnność udzielana uchodźcom niezależnie od ich przynależności religijnej, a „żyć wiarą znaczy oddawać swoje serce do dyspozycji innych”, przede wszystkim tych najbardziej potrzebujących. O przenoszeniu przez uchodźców

być prześladowany ze względu na swoje cechy lub przynależność do grupy społecznej (vide uzasadnienie WSA w Białymstoku, *pushback*, z 15 września 2022). Wyrazem takiego przyjęcia powinna być troska o ludzką godność, a wreszcie i wymogi samego człowieczeństwa. Niezaprzeczalnego i niezbywalnego człowieczeństwa każdego człowieka. Każdego, bez wyjątku.



„Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twojej osobie, jako też w osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka” – powiedział Immanuel Kant, dając tym samym podstawę dla naszych wyborów. Drugi jest celem, nigdy środkiem, a już na pewno nie środkiem w politycznej walce. Drugi jest faktem, który staje naprzeciw mnie i... domaga się odpowiedzi. Odpowiedzi na swojego człowieczeństwo. To... racjonalne. Prawo moralne we mnie jest nieusuwalne, „podnosi moją wartość” czy wreszcie „objawia mi życie”. Kategoryczność Kantowskiego imperatywu oznacza, iż podda-

wciągać na sztandar wartości, a jednocześnie migać się od etyki. Dopiero wsparte o nią wybory stanowią podstawę dla istnienia jednostek w społeczności, ale i dalej, istnienia szerszych wspólnot (w tym poszczególnych państwa) w społeczności międzynarodowej. Wobec kolejnych kryzysów powodowanych przez wojnę, głód, prześladowania, czy wreszcie przez zmiany klimatyczne, etyczna (ale też ekonomiczna/demograficzna) ślepotą jest niczym dobrowolne pędzenie na ścianę i liczenie się z tym, że to ściana nam ustąpi. Zapominanie o wymogach, jakie stawia nam człowieczeństwo Drugiego jest

„Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twojej osobie, jako też w osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka” – powiedział Immanuel Kant, dając tym samym podstawę dla naszych wyborów. Drugi jest celem, nigdy środkiem, a już na pewno nie środkiem w politycznej walce

jemy się mu bez sprzeciwu, bez cienia dyskusji, gdyż obowiązek etyczny powinien być przez człowieka spełniony właśnie dlatego, że jest obowiązkiem. Nie dlatego, że coś pasuje lub nie do politycznej czy społecznej układanki. I nie mówimy wcale o szerokim otwieraniu drzwi i krzyczeniu: „Chodźcie wszyscy!” Nie o to chodzi. Mamy prawo, mamy stosowne procedury, zaś wybory moralne (również w ich obrębie) winny stanowić odzwierciedlenie rozumności. Nie można

niczym patrzeć w otchłań, co w końcu pochłonie i nas samych. Zapominanie o prostej matematyce przynosi identyczny efekt. Odwracanie się od szacunku, od godności jest ryzykowaniem siebie. Bo przecież ludzie wszędzie są ludźmi, zaś w odczłowieczeniu bierze początek wszystko, co nieludzkie. „Osobowa jakość jednostki to właśnie jakość «moralna»” – powie gdzie indziej Hannah Arendt. To jakość, jakiej nie tylko musimy wymagać od samych siebie, ale której również





mamy prawo domagać się od rządzących. Bo powiedzieć, że człowieczeństwo to zestaw charakterystycznych cech, sposób formułowanie myśli, język, uczucia i zachowanie to... słownikowo prawidłowe, ale wciąż za mało. Że to również umiejętność kochania, współczucia, brania odpowiedzialności, gotowość do poświęceń, życzliwość w codzienności, chęć rozumienia?



Tak, ale... wciąż mało. To jeszcze godność, nie do odsprzedania za żadną cenę. I... jeszcze coś.

Liczy się człowiek. Faktem jest – znów Bauman – że „uchodźcy uciekający przed bestialstwem wojny i despotyzmem lub barbarzyństwem, na jakie skazuje życie w głodzie i bez perspektyw, od zarania nowoczesności pukali do cudzych

drzwi”. Nie ma się co oszukiwać, Polska już jest krajem migrantów, wystarczy spojrzeć na twarde dane, choćby w ZUS, gdzie jest ich ponad milion. Ba, Polska bez migrantów sobie nie poradzi. I mowa tu nie tylko o pracownikach, przybywających niemal ze wszystkich stron świata, ale także o ludziach najzwyczajniej szukających miejsca do życia, tych, co będą pracować, płacić podatki, tworzyć rodziny. Dla starzejącego się polskiego społeczeństwa to szansa. To także szansa na przebudowanie modelu mono-polskiego, na powrót do różnorodności, która nie

to element fenomenologii etycznej Emmanuela Levinasa, jego „fenomenologii uspołecznienia”, która zaczyna się właśnie od doświadczenia „twarzy” (le visage) drugiej osoby, od „bliskości” Innego. Wdowa, sierota i... obcokrajowiec (uciekinię, uchodźca) – symbole, personifikacja ludzkiej bezbronności, tu ludzka bieda wzywa ratunku, a wobec jej wołania nie ma wymówek. Skoro powiedziało się „a”, warto powiedzieć i „b”; skoro postuluje się państwo budowane na wartościach, to nie można ich (jak skutecznie czynią to dziś rządzący) przekłamywać/

Kategoria stawiająca na hasło „My i Oni, Oni i My” (zawsze w domniemanej kontrze) determinuje zachowania, rozmowy, wybory; zamyka w bańkach, w jakimś sensie odczłowiecza. Ten podział miał w historii świata tragiczne konsekwencje. Miał i... ma

była nam obca jeszcze przed II wojną światową. Ostra narracja zatrząskująca im drzwi przed nosem to kolejna pułapka. Jasne, owa obecność niemal zawsze postrzegana jest jako obecność „innych”, kogoś, kto przychodzi z „drugiej strony drzwi”. Jednak owa inność/odmienność nie odbiera im godności, nie odbiera im człowieczeństwa, nie odbiera im prawa ani szansy. Nie może też odbierać im nadziei. „Ujrzeć twarz to usłyszeć: «Nie zabijaj»”. Ta manifestacja twarzy

wykrzywiać, czy po cichu wyrzucać do kosza. Jasne, ów Inny nie jest przecież kategorią nową, zawsze istniał w opozycji do „Ja”. „Oni” odróżniali byli/są od każdego „my”, istotnym jest jednak moment, gdy w odróżnieniu od „swoich” podkreśla się wielowymiarową „obcość” innych. I dalej, rozpoznając i uwypuklając ów element „obcości”, tworzy się narrację – znamy to przecież doskonale nie tylko z lokalnego podwórka – kreującą niepewność i podsycającą dość

naturalny lęk przed nieznanym. W kolejnym kroku „inny”, „obcy” przeistacza się we „wroga”. Ten zaś zostaje uprzedmiotowiony, odczłowieczony, doprawiony strachem, a następnie jest wykorzystywany w takiej czy innej, politycznej, społecznej czy ekonomicznej batalii. Ta obcość, inność, a wreszcie wrogość staje się narzędziem budowania murów, stawiania mniej czy bardziej metaforycznych zasieków; narzędziem podziału, gdzie gębę „obcego” przykleja się już nawet tym, co nominalnie (choćby przez posiadanie dowodu osobistego wydanego przez to samo państwo) przynależą do tej samej społeczności/ wspólnoty państwowej. Kategoria stawiająca na hasło „My i Oni, Oni i My” (zawsze w domniemanej kontrze) determinuje zachowania, rozmowy, wybory; zamyka w bańkach, w jakimś sensie odczłowiecza. Ten podział miał w historii świata tragiczne konsekwencje. Miał i... ma.

Kant poucza nas o człowieczeństwie, o racjonalności, o drugim, który ma być celem a nie

środkiem. Etyka nie pozwala na unarzędziwienie człowieka, na przedstawianie go na planszy w politycznej grze. Praktyka pokazuje coś zgoła innego, zarówno gdy patrzymy na własne, jak i na inne podwórka, skrzętnie zagospodarowywane przez populistów/ autorytarystów/ despotów. Kantowskie przykazanie: „postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twojej osobie, jako też w osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka” ma dziś znaczenie zarówno na granicy polsko-białoruskiej, jak i w naszych codziennych wyborach i relacjach; ma znaczenie, gdy zaczyna się kampania wyborcza, która każdego z nas powinna rozpoznawać jako cel... nie obietnic, nie gry pozorów, nie rozdawnictwa, ale jako cel. To nie heroizm. Patrzmy zatem na człowieczeństwo każdego człowieka..., bo jeśli o nim zapomnimy, to ryzykujemy, że sami będziemy wkrótce uchodźcami. ●



MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Zajmuje się problematyką wojny, etyką wojny, międzynarodowym prawem dot. wojny i pokoju, odbudową społeczeństw postkonfliktowych, filozofią polityki, etyką rządu. Autorka książek „Znaczenia wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą” (Biblioteka Liberté! 2018), „Oblicza wojny (Arbitror 2019), „Był sobie kraj. Rozmowy o Polsce” (Biblioteka Liberté! 2021). Członkini rady programowej „Igrzysk Wolności”. Redaktor prowadząca miesięcznik „Liberté!” Prowadzi podcast „Jest sobie kraj”, w którym o Polsce rozmawia z rodzimymi intelektualistami. Pracuje nad książką poświęconą *ethics of government*, która ukaże się jesienią.

Stoimy na wspólnej scenie. Odnajdujemy kontekst, w którym razem zastanawiamy się „Co nas obchodzić mogłoby w tym kraju, gdzie przyjaciele z dala się obchodzą”? Bo jednak coś nas obchodzi, zajmuje, martwi. I patrząc na świat, będąc zanurzonymi w coraz bardziej niedogodnej, a nawet groźnej codzienności, nie rwiemy sobie włosów z głowy, ale szukamy. Przekopując się przez te ponad już trzydzieści lat polskiej wolności – pojmowanej zarówno jako wolność osobista, polityczna, jak i jako kategoria społeczna – szukamy klucza do własnej wspólnoty, ale też do naszej indywidualności.

(fragment książki)

MAGDALENA M. BARAN

Był sobie kraj

Rozmowy o Polsce

ROZMÓWCY: Michał Boni, Tadeusz Gadacz, Sylwia Gregorczyk-Abram, Jarostaw Gugata, Zbigniew Mikotejko, Wojciech Sadurski, Izabella Sariusz-Skąpska, Aleksander Smolar, Michał Wawrykiewicz



Magdalena M. Baran w Bibliotece Liberté!

Urzeka mnie w tej książce, że jest próbą powrotu do tego, co najprostsze, ale dziś wyparte i utracone. Powrót do rozmowy, dialogu, niespiesznej wymiany myśli z dala od bezduszno-bezmyślnych „polemik”, które dewastują nasz kraj – oto jedyna droga do ocalenia.

Piotr Augustyniak

W czasie, gdy na świecie dominuje monolog, rozmowa staje się bezcenna. Magdalena M. Baran w swojej książce przywraca rozmowie powagę i znaczenie.

Jarosław Makowski

L!

BRUKSELA DLA WSZYSTKICH

BEATA KRAWIEC

Jakie są czynniki wypychające ludzi z miejsca, w którym żyli? Głównie chęć poprawy warunków egzystencji, niestabilna sytuacja polityczna i ekonomiczna, nie mówiąc już o wojnie i dyskryminacji ze względu na pochodzenie, rasę czy religię. Mielśmy w Polsce czas, kiedy wielu z nas czy członków naszych rodzin i przyjaciół zdecydowało się na życie w innym kraju.

W Brukseli wszyscy jesteśmy migrantami i jednocześnie wszyscy lokalsami. Migracja to wciąż paląca kwestia w Europie. Obserwujemy dziś masowe przepływy ludności, co ilustrują różnorodne zjawiska, od drenażu mózgów po nielegalną emigrację przez Morze Śródziemne czy polsko-białoruską granicę.

ONZ definiuje migranta jako osobę, która przebywa w obcym kraju ponad rok, niezależnie od tego, czy migracja jest dobrowolna czy przymusowa i niezależnie od tego, czy osoba ta wyemigrowała w sposób legalny. Według takiej definicji osoby podróżujące przez krótszy czas – w celach turystycznych i biznesowych – nie byłyby uznawane za migrantów. W powszechnym użyciu pojęcie to obejmuje jednak również migrantów krótkoterminowych, wracających co kilka miesięcy do swojego stałego miejsca zamieszkania.

Jakie są czynniki wypychające ludzi z miejsca, w którym żyli? Głównie chęć poprawy warunków egzystencji, niestabilna sytuacja polityczna i ekonomiczna, nie mówiąc już o wojnie i dyskryminacji ze względu na pochodzenie, rasę czy religię. Mielśmy w Polsce czas, kiedy wielu z nas czy członków naszych rodzin i przyjaciół zdecydowało się na życie w innym kraju.

Czy Bruksela wciąż przyciąga Polaków? Jak najbardziej. Tak samo jak Marokańczyków, Kongijczyków, Rumunów, Gruzinów czy Węgrów,

którzy wolą zarabiać więcej niż w swoich ojczyznach, korzystać z przywilejów państwa opiekuńczego, lepszego standardu usług medycznych, bezpłatnej edukacji i szeroko pojętego *European Way of Life*.

Dodatkowo od wybuchu wojny z Rosją Bruksela stała się domem dla tysięcy Ukraińców, ponad 65 000 uchodźców przybyło w pierwszych tygodniach po 22 lutego. Dane belgijskiego MSW na dzień dzisiejszy potwierdzają, że większość z nich już wróciła, tylko 5 tys. nadal mieszka w ośrodkach tymczasowych i w samodzielnych lokalach.

Nawet jeśli oficjalnie rząd belgijski blokował początkowe unijne sankcje w handlu z Rosją (ze względu na handel diamentami), to w sposób systemowy (przyjmując w trybie ekspresowym stosowane prawodawstwo) wyposażył samorządy w środki finansowe na organizację miejsc pobytu, wypłatę zasiłków i przyjęcie ukraińskich dzieci do szkół).

Tak samo jak na terenie Rzeczypospolitej belgijscy Polacy od razu zaczęli akcje pomocowe dla uchodźców z Ukrainy. Ze względu na mniejszą barierę językową było im łatwiej zadbać o kobiety i dzieci potrzebujące schronienia, pracy czy choćby osoby z lepszym francuskim, by załatwić formalności związane z ubieganiem się o status uchodźcy. Byliśmy z siebie - nawet w tych tragicznych okolicznościach przez wiele przypadków po raz kolejny odmienialiśmy słowo „solidarność”.

Polacy przyjeżdżają do Królestwa Belgii od momentu jego powstania w 1830 roku. Po powstaniu listopadowym osiedliło się w nim ponad 600 żołnierzy, wśród nich m.in. Joachim Lelewel czy generał Jan Skrzynecki, który zakończył karierę militarną w nowoutworzonej belgijskiej armii. Polityczni emigranci dołączali również w falach po powstaniu styczniowym, rewolucji w 1905 roku, II wojnie światowej, po prześladowaniach ludności żydowskiego pochodzenia w roku 1968 oraz w ciągu całych lat 80.

Migracja zarobkowa nasiliła się w trakcie 20-letniego międzywojennego, zwłaszcza z terenów Zagłębia Dąbrowskiego, Śląska. Belgijski przemysł górniczy chłonał wtedy siłę roboczą, belgijskie państwo zakładało wtedy podwaliny pod

Polscy migranci zarobkowi w latach 80. i 90. zaczęli przyjeżdżać głównie z terenów obecnego województwa podlaskiego, mieszając się z obecną wcześniej Polonią, której przedstawiciele zdążyli się zasymilować z Belgami. Ta nowa fala emigracji przyjeżdżała głównie w celach zarobkowych, bez misji osiedlenia się w Królestwie Belgii, dość trudno się asymilowała z innymi nacjami. W dużej mierze spowodowane było to słabą znajomością języków – flamandzkiego czy francuskiego – oraz stosunkowo niskim kapitałem kulturowym wyniesionym z Polski. O wiele łatwiej było im integrować się z innymi Polakami o podobnym statusie materialnym, podobnych problemach dnia codziennego (praca na czarno, związki na odległość i rzadkie kontakty rodzinne). Przyjeżdżali na kilka miesięcy, kilka lat, celem było „zjechać” z powrotem do

Powstanie Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, później Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i w 1992 Unii Europejskiej zmieniło diametralnie Brukselę i jej strukturę demograficzną

system państwa opiekuńczego, dzięki silnym związkom zawodowym – również tym katolickim. Nierzadko polscy górnicy byli delegowani przez belgijskie kopalnie do pracy w Kongu na kilkuletnie kontrakty, w ramach których mogli sprowadzić rodzinę, jednak bardzo niewielu się na tę opcję decydowało.

Białegostoku, Moniek czy Łap, zaoszczędzone pieniądze zainwestować w dom, samochód i najczęściej własną działalność gospodarczą. Tak się rodził kapitalizm transformacyjny na Podlasiu. Są miejscowości, z których ¼ mieszkańców miała w swoim życiorysie lukę na emigrację zarobkową w Belgii.



Photo by Francois Genon on Unsplash

Bardzo dużą rolę w dalszym podtrzymaniu narodowych tradycji i związków z krajem miała Polska Misja Katolicka z siedzibami w większych miastach jak Gandawa, Liege i oczywiście Bruksela. Między innymi dzięki niej rozwinęło się szkolnictwo w języku polskim, do którego wciąż w środy po południu i w soboty rano uczęszczają dzieci. Ilość Polaków mieszkających wtedy w Belgii szacowana była na 15 tys. Po 1 maja 2004 nastąpił prawdziwy exodus i obecnie wg danych Konsulatu RP w Brukseli ok. 100 tys. naszych rodaków jest na stałe zameldowanych w Królestwie, a kolejne 50 tys. czasowo pracuje na jego terenie i wraca co kilka miesięcy do Polski.

Powstanie Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, później Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i w 1992 Unii Europejskiej zmieniło diametralnie Brukselę i jej strukturę demograficzną. Wcześniej poza Belgami mieszkało tu kilka wyróżniających się mniejszości: Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy przybywali do Belgii w latach 40. i 50., Marokańczycy i Turcy dekadę później, po podpisaniu oficjalnych umów międzyrządowych. Do 1968 kolejne rządy belgijskie były tworzone przez socjalistów i liberałów, zawsze koalicyjne, przy znacznym udziale reprezentantów związków zawodowych. Już wtedy starano się zaplanować nad migracją, wprowadzając systemem

rocznych kwot dla innych narodowości z tolerancją do ich przekraczania na maksymalnie 5%. Belgijski przemysł potrzebował robotników, kopalnie i huty nie były już tak atrakcyjnymi miejscami pracy dla rodowitych mieszkańców Flandrii i Walonii. Kolonialna przeszłość Belgii skutkowałą napływem migrantów z Konga, którzy od XIX wieku osiedlali się w metropolii.

Od końca lat 70., wraz z kolejnymi rozszerzeniami UE przybywają do Brukseli również ludzie, którzy zdecydowali się na karierę w instytucjach europejskich. Znakomita większość z nich osie-

„brukselizacji”. Belgowie stopniowo przyzwyczajali się do nowo przybyłych urzędników, a dzięki możliwościom stworzonym przez jednolity rynek wewnętrzny doceniali integrację europejską. Belgijskie firmy inwestowały w każdym nowo przyjętym kraju członkowskim, również tam tworząc miejsca pracy i wprowadzając swoją kulturę pracy oraz know-how. Rządzący w kraju chętnie mieli jeszcze jeden pomysł na wspieranie otwartości na imigrantów.

Jeszcze w latach 70. państwo belgijskie zrezygnowało z pobierania podatku od wynajmu

Od końca lat 70., wraz z kolejnymi rozszerzeniami UE przybywają do Brukseli również ludzie, którzy zdecydowali się na karierę w instytucjach europejskich

dliła się w Brukseli razem ze swoimi rodzinami, dlatego w pewnym momencie instytucje założyły specjalną sieć szkół europejskich, w których dzieci mogą pobierać naukę w swoich ojczystych językach.

Większość siedzib instytucji unijnych umiejscowiona jest w dzielnicy Etterbeek, która dość drastycznie postąpiła z swoimi starszymi budynkami. Ich modyfikacje niezbędne do budowy „dzielnicy europejskiej” i okolicznych kilkupasmowych dróg zyskały nawet wśród urbanistów nazwę

nieruchomości. Jest to jeden z wielu przykładów, jak przygotowywano obywateli tego kraju na napływ imigrantów z innych krajów, starając się finansowo zachęcić do współmieszkania z nimi. Ma to na pewno wpływ na takie decyzje w kraju, gdzie ponad połowa podatników płaci powyżej 45% podatku od swoich dochodów z pracy.

Napływ migrantów spowodował gwałtowny rozwój miasta, a zwłaszcza jego przedmieść i mniejszych miasteczek położonych tuż wokół obwodnicy. Brukselcy mieszczenie przeprowadzili się,

zostawiając tysiące mieszkań na wynajem dla nowo przybyłych. Te same zjawiska dało się zauważyć w większości dużych miast zachodniej

wykazać się ważną umową o pracę, znajomością języka czy zameldowaniem. To od efektywności urzędników, policji i ich współpracy zależy,

Napływ migrantów spowodował gwałtowny rozwój miasta, a zwłaszcza jego przedmieść i mniejszych miasteczek położonych tuż wokół obwodnicy. Brukselcy mieszczenie przeprowadzili się, zostawiając tysiące mieszkań na wynajem dla nowo przybyłych

Europy, które przyciągały również własnych obywateli z mniejszych ośrodków i wsi.

Owszem, są w Brukseli dzielnice, w których większość mieszkańców jest pozaeuropejskiego pochodzenia. Ba, są nawet burmistrzowie dzielnic, którzy nie są etnicznymi Belgami, a także deputowani i ministrowie. I jest to całkowicie normalne w kraju, w którym *European Way of Life* oznacza również integrację dla uchodźców, migrantów i innych Europejczyków, którzy przyjeżdżają do jego stolicy. Każdy samorząd ma własne warunki integracji, na mocy których nowo osiedleni muszą

czy kolejne pokolenia mniej lub bardziej zintegrowanych migrantów zaczną się czuć w nowym państwie u siebie.

Można stereotypowo powiedzieć, że Belgów łączy tylko Król Filip I Koburg i kibicowanie piłkarskiej reprezentacji – Czerwonym Diabłom. Drużyna ta od lat figuruje na szczycie rankingu FIFA (niestety na turniejach idzie jej raczej średnio) i ponad połowa jej zawodników jest Belgami pozaeuropejskiego pochodzenia. A jest kochana przez cały 11-milionowy naród. ●



BEATA KRAWIEC

Absolwentka europeistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego i XXI. Szkoły Liderów Politycznych, pracowała z Michałem Bonim w Ministerstwie Cyfryzacji i w Parlamencie Europejskim. Dumna ze swojego miasta łodzianka i przekonana Europejka. Mieszka w Brukseli.

БЫСТРО!

MICHAEL GIELETA

Idea była prosta: umożliwić współczesnemu pokoleniu artystów-uciekierców wojennych to, co nie było możliwe pokoleniu andersowskich uciekinierów-artystów: czyli uznanie ich wartości i dokonań przez goszczące ich państwo, włączenie ich w środowisko zawodowe i przeprowadzenie ich przez most rezygnacji i zagubienia zawodowego po utracie (prawie) wszystkiego.

Przede mną złotawe połacie Nowego Meksyku pokropione, niby pędzlem post-impresjonisty, kępkami jałowców. Nad teatrem rozpościera się intensywny błękit południowego nieba zlewający się z ziemią jak na obrazach Georgii O'Keefe, a gdzieś za dalekimi pagórkami znajduje się owiane osiemdziesięcioletnią tajemnicą i teoriami spiskowymi Los Alamos. Festiwal w Santa Fe wpisuje się jako cud ludzkiej miłości do sztuki w cud otaczającej go przyrody, ale, podobnie jak Los Alamos, jest przykładem dokonania czegoś niemożliwego w niemożliwych warunkach: światowej klasy festiwal operowy, przyciągający tysiące tubylców i przybyszów z obu stron Atlantyku do amerykańskiego salzburskiego ekwiwalentu na końcu świata, dwa i pół tysiąca metrów nad poziomem morza. Gdy reżyserowałem tu parę sezonów temu *Le Rossignol* Strawińskiego, ilekroć przechodziłem na próby przez taras z popiersiem Igora, jednego z entuzjastów i współtwórców stawy Santa Fe Opera, uderzał mnie ten rodzaj radosnej adrenaliny, który w próbach zamieniał mnie w ognistego ptaka, a poza próbami kazał przebierać nogami jak Petruszka w pierwszej scenie u Fokina. W szczytowym punkcie festiwalu *le tout le monde* operowego świata zjeżdża się do Santa Fe nie tylko na spektakle, ale i na prezentacje młodych śpiewaków (absolwentów Juilliarda, Yale School of Music, AVA etc.), którzy w sezonie festiwalowym stanowią trzon chóru i marginalnych ról w głównych spektaklach scenicznych. Jak w dzisiejszym USA, tak ci na scenie, jak i ci na widowni są odzwierciedleniem mieszanki kulturowej i etnicznej północno-amerykańskiego, wzbogaconym o talent, pracowitość i parcie ku lepszemu społeczeństwu.

Kilka sezonów temu, gdy w Białym Domu królował pewien kompulsywny użytkownik pomarańczowego samoopalacza, a w Nowym Meksyku budowano antyemigranckie zasieki, oburzeni liberałowie z Santa Fe spierali się z republikanami z konserwatywnego Albuquerque, przy granicznych zasiekach oddzielano poranione drutami matki od poranionych drutami dzieci, a na operowych rautach i galach w Hotelu El Dorado, towarzystwo w smokingach i sukniach Armani Privé zbierało setki tysięcy dolarów na prezerwację miejscowych *pueblos*, rozparcelowanych i demoralizowanych od pokoleń przez zdobywczych przodków dolutującego na te gale prywatnymi awionetkami towarzystwa. Z miliardów dolarów zarobionych na zabranym autochtonom ziemiom, tysiące dolarów idą teraz na „nadrobienie straconego czasu” i „zachowanie naturalnego habitatu ludności etnicznej”. Wymuskani właściciele elitarnych galerii sztuki na Canyon Road mówią z pełnym pewnością siebie akcentem ze wschodniego wybrzeża, piękna obsługa pięknych i drogich restauracji opowiada o drogich komponentach dań z przeciągającą się, zawiniętą w górę kalifornijską infleksją, a z wymęczonymi pokojówkami w hotelach, zamiataczami ulic, siłą ze zmęczenia klientelą i obsługą nocnych stacji benzynowych możesz się porozumieć wyłącznie w latorynskimi *patois* hiszpańskiego.

Właśnie wtedy, kilka sezonów temu, pośród napięć na granicy i wrzeszczącego z radia faszystowskiego języka Trumpa, jechałem na przedstawienie za samochodem (z pewnością republikańskim), na którym naklejony był napis w kolorach flagi

amerykańskiej: „The American Dream is not a hand-out” („Amerykański sen to nie jałmużna”). Nie wiem czy jedno pokolenie miksujących margarity w podrzędnych barach, zmywających talerze po klientach delektujących się *huevos rancheros* czy mielących w kamiennych moździerzach świeże guacamole w „etnicznych” restauracjach dogoni w drugim, wyedukowanym w kiepskich państwo-

będzie następczyni Joyce DiDonato?!”, „Przecież to koloratura równa Lisette Oropesy!!”, „Czyżby to kolejny Lawrence Brownlee?”) i długich, frustrujących minut zastanawiania się, dlaczego u jednej Mimi „Vivo sola, soletta” („mieszkam sama, samiutka”) brzmi jak pełne rezygnacji ostrzeżenie „mieszkam z wredną babcią”, kolejnie, u Juliette każde „Je veux vivre” („Tak pragnę żyć!”) sugeruje „chyba umrę za-

Udało mi się przewieźć dziesiątki artystów (głównie artystek z dziećmi) między Paryżem, Amsterdamem a Londynem. Przerażonych, strauumatyzowanych, wykolejonych przez jednego *films de putain* ludzi

wych szkołach Nowego Meksyku filantropów w smokingach, których przodkowie przybyli na kontynent amerykański na pokładzie Mayflower, pod pokładem statków z żydowskimi uciekinierami z pogromowej Rosji lub nazistowskich Niemiec czy też na tratwach przepelnionych wykształconymi już Kubańczykami u wybrzeży Key West.

Chciałbym wierzyć, że tak, ale w Nowym Meksyku nie ma szkół Ivy League. Jest za to 12 godzin jazdy samochodem przez Dolinę Śmierci do południowej Kalifornii.

Podczas festiwalu przesłuchania młodych artystów, tak jak przesłuchania młodych artystów w każdej dziedzinie i w każdej szerokości geograficznej, są połączeniem chwilowego uniesienia („To może

raz z nudów” (nie mówiąc nawet o jakimkolwiek respedzie dla francuskich samogłosek, rąbiącym na początku każdej frazy „Ze we wiwre”). Następnie korpulentna Manon Lescaut beznamiętnie umiera z głodu na pustyni „solap-ertuta-bandonata” (a Puccini dość niezłe fonetycznie i dramatycznie tę frazę skonstruował: „**sola, perduta, abbandonata...**”). Teraz młodociany Filip II z *Don Carlosa*, śpiewając „Ella giammai m’amò” („Więc ona nigdy mnie nie kochała...”) sprawia wrażenie, jakby informował samego siebie, że żona poszła właśnie zrobić mu herbatę. „Follie, follie!” Traviaty (wymawiane naturalnie z pojedynczym „l” „folije, folije”) przypominają zamawianie u niedosłyszającego baristy polskie „kafelate”. Potem przez 10 minut Faust wita się z miejscem zamieszkania Marguerite, mordując francuską fonetykę w „Sali demere szastepire”. I, siedząc tak



plash

Photo by Anna Hunko

Photo by Anna Hunko on Unsplash

w teatrze pod gołym niebem, patrząc się w jego doskonały błękit, nie można nie zastanawiać się, ilu z tych mniej lotnych artystów znajdzie jakkolwiek pracę w zawodzie. I czy rozbudzanie w nich tej iluzji jest aktem etycznym.

W chwili takiego zwątpienia w sens doskonałości tego, co staramy się jako odtwórcy dzieł innych dokonywać każdego dnia pracy, powiew suchego powietrza zza gór Sangre de Cristo przypomniał mi akcję, którą uruchomiłem na początku agresji Federacji Rosyjskiej na Ukrainę. Idea była prosta: umożliwić współczesnemu pokoleniu artystów-

wstydem. Dzięki tej akcji muzycy zostali ulokowani u muzyków, śpiewacy goszczeni przez śpiewaków, ludzie teatru znaleźli się pod dachami ludzi teatru, scenografowie u scenografów etc. etc. Udało mi się przewieźć dziesiątki artystów (głównie artystek z dziećmi) między Paryżem, Amsterdamem a Londynem. Prerażonych, strauumatyzowanych, wykolejonych przez jednego *films de putain* ludzi.

Artystom, jak małym dzieciom, nieważne jak poranionym przez los, kolorowy, szeleszczący i nęcący przedmiot jest zdolny na chwilę oderwać uwagę od horroru codzienności: tym przedmiotem u arty-

Shakespeare Company/ London Philharmonic Orchestra/ Royal Ballet / recitalu w Wigmore Hall etc. etc. nie mogę ci załatwić; nikt tego nie może ci załatwić”, „Wychodzimy wszyscy z pandemii i każdy z nas jest zdepresjonowany sytuacją zawodową, wygłodniały pracy, dochodu i profesjonalnej walidacji” oraz „nie, nikt z nas za to, że pracujemy w zawodach twórczych nie dostaje od rządu pieniędzy”. Jak tu wytłumaczyć komuś z prowincjonalnego teatru we wschodniej Ukrainie, że na rynku aktorskim w UK jest wystarczająco aktorów ze słowiańskim akcentem, że najzdolniejsi ukraińscy muzycy/śpiewacy/tancerze od lat mają międzynarodowe kariery, że, będąc uciekinierem, warto by wpieryw zainwestować czas w naukę języka, czy że zamiast koncertów w Domu Kultury w Chersoniu może warto znaleźć w sobie wdzięczność za możliwość uczenia dzieci w szkole muzycznej w środku idyllicznego Warwickshire? Jak przekonać artystę klasy B lub C, że nikt z nas na anglo-amerykańskim

rynku nie ma utytułowania do ani przywileju na pracę. Wystarczająco jest artystów klasy A+, dla których i tak nie ma wystarczająco okazji do kontynuowania pracy zawodowej. Istnieją natomiast pokora, wdzięczność i powściągliwość, które w połączeniu ze szczęściem i wyjątkowymi umiejętnościami pozwalają nam, autochtonom, utrzymać głowę ponad wodą. Wodą, na powierzchni której nikt nie strzela w cywilów karabinem maszynowym.

Nie jestem w stanie podążać za losami dziesiątków rodzin, którym asystowałem przy znalezienia azylu w UK. Jedno wiem: w Londynie, w przeciwieństwie do Paryża sto lat temu, nie słycać nawołującej się nawzajem w lunchowych restauracyjkach obsługi białych emigrantek z wysokiego towarzystwa: „bystro!”, „bystro”. Może w stabilniejszym tempie „brytyjski sen” osiągnie się przez ciężką konstruktywną, pragmatyczną i długą pracę. Niekoniecznie w wymarzonej zawodzie. ●

Jak tu wytłumaczyć komuś z prowincjonalnego teatru we wschodniej Ukrainie, że na rynku aktorskim w UK jest wystarczająco aktorów ze słowiańskim akcentem, że najzdolniejsi ukraińscy muzycy/śpiewacy/tancerze od lat mają międzynarodowe kariery...

-uciekierów wojennych to, co nie było możliwe pokoleniu andersowskich uciekierów-artystów: czyli uznanie ich wartości i dokonania przez goszczące ich państwo, włączenie ich w środowisko zawodowe i przeprowadzenie ich przez most rezygnacji i zagubienia zawodowego po utracie (prawie) wszystkiego. Odpowiedź ludzi z brytyjskiego środowiska zawodowego była wspaniała: artyści otworzyli artystom z innego kraju swoje serca, domy i książki adresowe. Torysowski rząd brytyjski choć raz w ostatnich latach przestał napawać nas

stów jest praca. Praca w zawodzie. Nie wiem, ile rozmów w kilku łamanym językach udało mi się (a raczej nie udało) przeprowadzić na temat różnicy między utytułowaniem a przywilejem: „Tak, Wielka Brytania gwarantuje tobie i twoim dzieciom nieograniczony pobyt w zamożnym, bezpiecznym, merytokratycznym kraju”, „Tak, będziesz dostawał(a) pomoc społeczną, twoi gospodarze będą dostawali wsparcie finansowe. Żadne bomby nie będą tobie ani twoim najbliższym nad głowami latać”. „Ale engagement w Covent Garden/ Royal



MICHAEL GIELETA

Reżyser operowy i teatralny. Ukończył studia w zakresie literatury na Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie jego mentorem był m.in. Cameron Macintosh. Ponadto ukończył program reżyserski w National Theatre w Londynie. Był asystentem Franco Zeffirellego przy jego realizacji *Absolutely! (perhaps)* Pirandella na West Endzie. Asystował również w Royal Shakespeare Company. Reżyseruje głównie na deskach teatrów brytyjskich, amerykańskich, skandynawskich i południowoafrykańskich. Pełnił obowiązki dyrektora artystycznego awangardowej The Cherub Company London. Współpracował z Yale School of Opera, Royal College of Music oraz Birmingham Conservatoire. Jest także jednym z reżyserów Akademii Szekspirowskiej w Royal Academy of Dramatic Art.

POLITYCZNOŚĆ, RACJONALIZM, DIALOG – CZ. 1

PIOTR GÓRSKI

Dominują trzy główne podejścia do polityki, w ostateczności będące ze sobą sprzeczne, lecz mogące jednak współistnieć. Przecinają one spory polityczne, rodzą też napięcia w każdym obozie politycznym. Warto się im przyjrzeć, by lepiej zrozumieć słabości i ograniczenia, a także nadzieje, jakie za sobą pociągają.

Nie ma bardziej podstępного relatywizmu, niż uznawanie rzeczy relatywnych za nierelatywne. Jednocześnie w głowach często mamy obraz harmonijnego świata, w którym wszystkie ważne wartości są ze sobą pogodzone, wspierają się i wzmacniają. Nie jest to świat istniejący, lecz taki, który można osiągnąć i do którego należy dążyć. Trzeba tylko pozbyć się przeszkód stojących na drodze do urzeczywistnienia tej powszechnej szczęśliwości, takich jak niewiedza czy zabobony, głupota, zła wola czy nieczyste intencje. Co prawda, ludzie mogą wyznawać różne wartości, ale z pewnością istnieje sposób pozwalający je zharmonizować i spokojnie współżyć.

Działając na rzecz spraw uznawanych przez siebie za ważne, dokłada się cegiełkę do budowy powszechnego dobra. To czyn społeczny na rzecz stworzenia miasta z naszych marzeń. Jego kwartały, wznoszone w oparciu o różne preferowane wartości ostatecznie połączą się, tworząc spójną całość. Nie będą wchodziły sobie w paradę, a już na pewno spory budowniczych nie pokrzyżują prac. Na przeszkodzie więc mogą stać wyłącznie obiboki lub wichrzyciele. Jeśli pojawią się problemy między pracownikami, można je rozwiązać nie tylko skutecznie, ale i w taki sposób, że nie będą one zarzewiem kolejnych kłopotów. Czy da się to w rzeczywistości osiągnąć? W jakich metodach pokłada się nadzieję na to?

Kulturowe sprzeczności deliberacji

Jedna z najbardziej rozpowszechnionych dziś odpowiedzi głosi, że wystarczy wystarczająco długo

i dogłębnie dialogować. A przecież już opieszałość z tego wynikająca może nie podobać się pozostałym, być źródłem konfliktu i mieć konsekwencje będące zarzewiem kolejnych sporów. Gdyby udało się uniknąć tej rafy, zharmonizowanie można osiągnąć, dochodząc do pewnego konsensusu, albo przynajmniej wykrystalizować i wyłożyć własne hierarchie wartości, stworzyć listę zgodności i rozbieżności oraz zaakceptować dzielące różnice. Takie przeświadczenie opiera się na wierze lub założeniu, że istnieją pewne wspólne wszystkim ludziom wartości, które można odnaleźć w każdej kulturze lub które tkwią w każdym człowieku.

Podjęcie dialogiczne już zakłada pewne podzielane nadrzędne wartości związane z dialogiem i podstawowymi metodami jego prowadzenia. Z pewnością wśród nich znajdują się: uczciwość, uważność, cierpliwość wysłuchiwanie perspektyw innych oraz wykładania własnej, ciekawość, a także życzliwość. Muszą podzielać je uczestnicy dialogu. Przyznawać im pierwszeństwo wobec tych, których dotyczy różnica. Habermas w swej koncepcji działania komunikacyjnego – będącej uzasadnieniem dla dialogicznej rzeczywistości człowieka i mającej stanowić etyczny fundament społeczeństwa – zauważa również, że przy spornej sprawie potrzebne jest znalezienie pewnego obszaru, punktu zaczepienia, dzielanych wartości. W każdym przypadku może to być co innego. Nie ma znaczenia, że stanowi to przedmiot sporu innych osób czy grup, przy innej okazji lub w innym czasie nawet tych samych. Zatem rozwiązując konkretną sprawę, niekoniecznie dokładamy cegiełkę

do budowy harmonijnego świata. Tworzymy pewien miraż, być może nawet rozbudzamy nadzieje, ale niezgodności jak były, tak pozostają, choć jak w chaotycznych ruchach cząsteczek Browna, nie są one już w tym samym miejscu, co na początku.

Ideał, w którym wszystkie ważne dla ludzi wartości zostaną pogodzone, nie może zostać spełniony na podstawie deliberatywnej. Wciąż dochodzić

Inny problem z podejściem dialogicznym wykładają sami zwolennicy deliberacji. W skrajnych przypadkach wprost mówią, że nawet jeśli nie z pewnymi osobami, to z pewnymi stanowiskami i twierdzeniami się nie dyskutuje. A przecież przemilczanie to jedno z narzędzi przemocy, stosowane przez wieki i sprzeczne z nastawieniem do dialogu. W takich przypadkach, chcąc pozostać w paradygmacie deliberatywnym, trzeba byłoby dyskutować o tym,

Rozwiązując konkretną sprawę, niekoniecznie dokładamy cegiełkę do budowy harmonijnego świata. Tworzymy pewien miraż, być może nawet rozbudzamy nadzieje...

będzie do konfliktów w oparciu o nie, a ich ostateczna zgodność pozostanie nieosiągalna. Ten rodzaj racjonalnej dyskusji, także o wartościach, może być przydatny, pożyteczny i skuteczny, ale w konkretnych sytuacjach, a nie jako powszechne rozwiązanie. Stanowi niewątpliwie pewną wartość społeczną, rozwiązując lub łagodząc niektóre konflikty. I właśnie jako jedna z wartości nie jest miarą dla innych, a także wchodzi z nimi w konflikty, m.in. z racjonalizmem opartym na poprawnym rozumowaniu prowadzącym do najlepszego rozwiązania, przewyższającego wszystkie sprzeczności. Skoro jest jedno właściwe rozwiązanie, to dyskusja mija się z celem. Co najwyżej jest miejsce tylko na przekonywanie i zarządzanie emocjami tych, którzy nie podzielają racjonalnej wizji.

nad czym można prowadzić dialog, a jakie tematy czy argumenty powinny być z niego wykluczone. Jeśli robi się to w inny sposób niż poprzez rozmowę z odmiennie myślącymi, to podważony zostaje prymat wartości dialogicznych. Tym bardziej, że stanowiska mogą być nieoczywiste. Osoby niezgadające się z pierwotnym „niedyskutowalnym” stanowiskiem, mogą widzieć potrzebę takiej „metarozmowy”, z kolei ci początkowo „wykluczeni” utrzymywali, że są kwestie nie poddające się dyskusji. To poważna przeszkoda na drodze do zharmonizowania świata wartości.

Irenizm – w stronę harmonii

By lepiej zrozumieć, skąd wzięła się tak ambitna idea powszechnej harmonii, która zawładnęła wieloma



umysłami i przyczyniła się do upowszechnienia sposobu myślenia wspomnianego na wstępie, musimy przenieść się kilka stuleci wstecz. Do czasu wielkich konfliktów religijnych w Europie, sporów doktrynalnych, skomplikowanych relacji Kościoła katolickiego z władcami świeckimi, wplątanych w to ambicji politycznych, wyniszczających wojen domowych

i międzynarodowych, pragnienia doprowadzenia do pokoju i ustanowienia warunków jego trwania, chęci przywrócenia jedności chrześcijaństwa oraz okresu rewolucyjnych przemian w nauce.

Zaczął się dość banalnie i niewinnie. Augustiański zakonnik z prowincjonalnej Wittenbergi, Marcin

Luter wezwał do dysputy teologicznej na temat odpuśców. Był to tylko pretekst do rozprawy z nadużyciami rozrastającej się władzy Kościoła. Chodziło o jego odnowę w duchu konserwatywnym, powrotu do źródeł. Spory teologiczne czy krytyka instytucji kościelnych nie były niczym nowym. Tym razem jednak, za sprawą rozpowszechniania poczytnych broszur religijno-agitacyjnych drukowanych w języku narodowym – powstających masowo za spr-

Było to już po bezprecedensowym wydarzeniu. W 1521 r. w Wormacji na Sejmie Rzeszy rozpatrywana była sprawa ekskomuniki Lutera. Papież Leon X nałożył ją w reakcji na pisma przeciwko władzy papieskiej jako niemającej podstaw w Piśmie Świętym. Ponieważ tym sporem żyła cała Europa, na obradach pojawili się przedstawiciele wielu państw. Luter stanął przed cesarzem Karolem V za sprawą swego protektora, Fryderyka Mądrego. Elektor sa-

tak, by nie przyniosło ono negatywnych skutków, tak jak je rozumiano w oparciu o dotychczas obowiązujące wartości. I jak w takich przypadkach bywa, edykt wormacki nie osiągnął skutków.

Luter pozostał w kraju. Z pomocą Fryderyka ukrył się w klasztorze. Do tego poparcie społeczne dla jego ruchu było tak duże, że nie dało się wykonać wyroku. Konflikt narastał. Społeczeństwo się polary-

z Rotterdamu, czołowy humanista tamtych czasów, cieszący się wielkim autorytetem i sławą, marzący o tym, by między ludźmi panowała zgoda, życzliwość oraz umiar. Miało to podkreślać jedność wiary i jej służyć. Nic więc dziwnego, że strony konfliktu szukały w nim poplecznika. Papież namawiał go do potępienia reformacji. Luter widział w nim potencjalnego stronnika, zwłaszcza że zgodni byli w krytyce papieża i duchowieństwa, a także

Druk, jak na rewolucyjną technologię przystało, miał skomplikowaną historię. Napędzany przez wysyp drobnych pism religijnych zmierzających do zmiany istniejącego porządku, spotkał się z reakcją jego obrońców

wą maszyn drukarskich, przeżywających dzięki temu swój rozkwit – ruch reformacyjny osiągnął taką skalę, że Kościołowi nie udało się go już powstrzymać. Nie zdołał go zmarginalizować, potępiając i uciszając, jak ruchy heretyckie. Postulat niezależności od papieża znalazł przychylność wśród książąt Świętego Cesarstwa Rzymskiego oraz we władzach wolnych miast dostrzegających w tym szansę zwiększenia swobody od cesarza uzależnionego od Rzymu. Z czasem nowe idee zdobyły również poparcie wśród ludu, w tym na wsi, do czego przyczynili się agitatorzy tacy jak Müntzer. Wybuchły bunty chłopskie przeciwko feudałom i duchownym, które ostatecznie potępił sam Luter jako zbyt radykalne.

ski odmówił wydania swojego poddanego Rzymowi bez możliwości obrony samego oskarżonego przed sejmem, a także wystosował list żelazny, mający chronić przed powtórką z wydarzeń soboru w Konstancji, podczas którego zginął Jan Hus, broniący swoich przekonań. Zakonnik nie wyrzekł się jednak swoich tez i został skazany na banicję. To samo dotyczyło jego zwolenników. Do tego zakazano drukowania książek i broszur propagujących ich idee, a te już istniejące miały zostać spalone. Druk, jak na rewolucyjną technologię przystało, miał skomplikowaną historię. Napędzany przez wysyp drobnych pism religijnych zmierzających do zmiany istniejącego porządku, spotkał się z reakcją jego obrońców. Próbowano uregulować to narzędzie

Człowiek musi odgrywać rzeczywistą rolę w dokonywaniu wyborów, jeśli sprawiedliwość i miłosierdzie Boga mają coś znaczyć – twierdził Erazm

zowało. Pojawiały się kolejne konfesje. Po kilku dekadach w Augsburgu zaproponowano rozwiązanie sytuacji, ustanawiając zasadę cuius regio, eius religio. Zgodnie z nią lokalna władza narzucała wyznanie swoim poddanym. Nie obejmowało to jednak wszystkich konfesji. Postanowienia dotyczyły tylko katolików i luteranów. Pomiędzy zostali chociażby kalwini, których dopiero w blisko sto lat później uwzględniono w postanowieniach końcowych wojny trzydziestoletniej. W XVI w. także Anglię zaczęły trawić wewnętrzne wojny religijne toczące się po utworzeniu Kościoła anglikańskiego przez Henryka VIII i uniezależnieniu się od Rzymu.

Ta epoka konfliktów i chaosu zrodziła irenizm – ruch zmierzający do zaprowadzenia pokoju poprzez pojednanie stron. Jego apostołem był Erazm

chęci przybliżania Biblii ludowi, zarówno poprzez tłumaczenie jej na języki narodowe, jak i odrzucenie zawitości scholastycznych. Rotterdamczyk znał się z Henrykiem VIII, a także doradzał cesarzowi Karolowi V. Dbał jednak nade wszystko o swoją niezależność. Chciał być pośrednikiem czy nawet mediatorem między zwaśnionymi stronami. Miał w sobie niechęć do wojny. Widział ją na własne oczy we Włoszech, gdzie ścierał się papież z tamtejszymi republikami, księstwami i księstewkami, a także doświadczył konfliktu zbrojnego między królem Francji a Anglią, Hiszpanią oraz Austrią. Paradoksalnie jego nastawienie i wyraźne nieopowiadanie się po żadnej ze stron przysporzyło mu krytyków i wrogów. Każdy przypisywał go do obozu przeciwnego. Powoli zaczął więc wycofywać się z życia publicznego.



Zanim do tego doszło, skonfrontował się jednak z Lutrem. Niemiecki teolog próbował przeciągnąć Erazma na swoją stronę, pomimo że od początku był świadom różnicy, jaka między nimi występowała. Dla zakonnika ważniejsze były sprawy boskie. Dla Rotterdamczyka ludzkie, choć powiedzieć, że stawiał wyżej człowieka niż Boga byłoby przesadą. Wystąpienie przeciwko Lutrowi dotyczyło wolnej woli. Człowiek musi odgrywać rzeczywistą

rolę w dokonywaniu wyborów, jeśli sprawiedliwość i miłosierdzie Boga mają coś znaczyć – twierdził Erazm. Nauki Pisma i płynące z nich pouczenia, nakazy i zakazy oraz posłuszeństwo wobec nich mają sens, gdy można wybierać dobro lub zło. W przeciwnym razie, niczym siekierka dla stolarza, będąc jedynie narzędziem w boskich rękach, ludzie za nic nie odpowiadają. Wszystko co się dzieje – tęcznie z najgorszymi postępami ludzkimi, oburzeniem na

nie i karą – jest czystą koniecznością. Wobec tego moralność chrześcijańska, powoływanie się na nią i kierowanie się jej zasadami jest nic nieznaczącym pozorem, kolejnym ubrankiem, w które Bóg przyodziewa swoje lalki. Z tego powodu Erazm uznał ostatecznie, że szerzenie deterministycznych poglądów, nawet jeśli byłyby prawdziwe, jest szkodliwe dla moralności społecznej.

Dla deterministy, za jakiego w oczach Erazma uchodził Luter, takie wystąpienie holenderskiego uczonego nie było aktem wolnej woli uczonego, lecz jedynie kolejnym boskim performancem.

nowych wyzwań, które odegrały rolę w wojnach i które musiały zostać uwzględnione w myśleniu pokojowym, Luter przyczynił się do powstania innego rozumienia wolności człowieka, przeniesieniu jej na inny poziom.

Stulecie po rozpoczęciu reformacji to czas konfesjonalizacji, jak określił je Heinz Schilling. Krystalizowały się doktryny i podziały z nich wynikające. Długo zajęło, by stały się one nieistotne z perspektywy polaryzacji społecznej i politycznej. Nie były zarzewiem i uzasadnieniem wydarzeń. Choć działania irenistów – Erazma i jego następców – przyczyniły

To racjoniści w polityce, o których pisał Oakeshott, chcący narzucić swoją jedynie słuszną, całościową i spójną wizję, niezależnie czy opartą na myśleniu religijnym czy pozbawionym Boga, są wielkim zagrożeniem

Przekonany o tym, że jest również wiedziony wolą bożą, niemiecki teolog odpowiedział traktatem *O niewolnej woli*, w którym podkreślał, że nawet w sytuacjach – zdawać by się mogło – przypadkowych, niekoniecznych czy odwracalnych, jak chociażby ten konflikt między uczonymi, to ona jest decydująca. Ostatecznie bowiem Luter przyznawał wolność tylko Bogu, choć zastąpił wcześniej z pisma o *Wolności chrześcijańskiej*. Paradoksalnie jednak, wyrzuwając człowieka z podległości instytucji Kościelnych, przyczyniając się do powstania

się do tego, to jednak nie w wersji zmierzającej do pojednania teologicznego drogą dialogu. Nie dokonali tego nawet z pomocą współpracy pomimo różnic w duchu ekumenicznym, który powstał później w odpowiedzi na laicyzację społeczeństwa. Nie doprowadziły do tego również próby osiągnięcia jedności drogą racjonalnego rozumowania.

Chrześcijańskie źródła racjonalizmu

Dziś racjonalizm kojarzymy z czymś dalekim od Boga, jeśli nie ze sprzeczną z nim postawą myślenia

o świecie. Nowożytne korzenie tego pojęcia są jednak ściśle z nim związane. Twórcy nowożytnego racjonalizmu z Kartezjuszem, Spinozą i Leibnizem na czele nie odżegnywali się od Boga. Nie dążyli do oderwania się od religijnych fundamentów swoich konstruktów. Wręcz przeciwnie. Widzieli w chrześcijańskim obrazie Boga konieczny element swoich propozycji, czy to jako podstawę pewności, czy to jako założenie wyjściowe o harmonii wszystkiego co dobre.

Kartezjusz, którego dualizm umysłu i ciała został podważony przez współczesną psychologię, uważał, że wątpiący umysł dochodzi do rozpoznania ograniczeń samego siebie, jak i innych ludzi. Podmiot myślący świadomy jest niedoskonałości swojej oraz jemu podobnych. Niedoskonałość dotyczy nie tylko cielesności, ale także myślenia o otaczającym świecie. Mimo to człowiek znajduje lub może znaleźć w sobie pewność taką, jaką ma w przypadku myślenia matematycznego, uznawanego w XVII w. za ideał. Niedziwne więc, że francuski filozof przeprowadzał swoje rozumowanie na wzór dowodów geometrycznych. Czynił to również w odniesieniu do Boga, przyczyny wspomnianej niedoskonałości w myśleniu człowieka, a zarazem gwaranta przed popadnięciem w jakąkolwiek, nawet najdrobniejszą wątpliwość. Także dotyczącą oczywistości matematycznych.

Przyjrzyjmy się temu rozumowaniu. O istnieniu Boga zaświadcza to, że możemy pomyśleć nieskończoność – kategorię, która w XVII w. pozwoliła na

rozwinięcie matematyki, w tym rachunku różniczkowego przez Leibniza. Nieskończoność wykracza poza nasze zdolności poznawcze, dlatego też dla Kartezjusza łączyła się z nieosiągalną na ziemi doskonałością. To odmienne podejście niż mieli starożytni Grecy, upatrujący w niej czegoś nieukończonego. Dla nich pełnię i najwyższą formę stanowiło to, co skończone. W świecie chrześcijańskim doskonałość i najwyższą formę stanowił natomiast Bóg. To jego idea, podobnie jak idee trójkąta czy innych figur geometrycznych, zawierających w sobie wszystkie swoje doskonałe właściwości, jest źródłem wszelkich prawd, praw i dobra. Wyklucza również jakikolwiek błąd, niespójność i sprzeczność. Bóg też nie może błędzić oraz sobie zaprzeczać. To nie mieści się w definicji nieskończonej doskonałości. Błąd jest więc złem. Wynika z niepełnej wiedzy, niewystarczającego poznania. To bardzo augustiańskie rozumienie zła jako braku czegoś, niepełności, pustki, niedostatku dobra lub niebytu. Sprzeczność natomiast nie mieści się w idealnej wizji porządku opartego na prawdzie, niezmiennych prawach i dobru. Stąd też ostateczne racjonalne zasady nie mogą mieć w sobie ani krzty relatywizmu czy konwencjonalizmu. Muszą opierać się na czymś stałym, odwiecznym oraz zakładać doskonałość. Choćby miała być jedynie mirażem.

W przeciwnym razie, wątpiąc w to, łatwo wszelką racjonalność skruszyć, a co najmniej naruszyć, podważając jakikolwiek aksjomat lub zmieniając znaczenie pojęć. W takim przypadku wątplenie, będące dla Kartezjusza jedynie etapem na drodze do

uzyskania i uzasadnienia pewności w postrzeganiu przez nas przedmiotów fizycznych, zachodzących w nas procesów oraz zjawisk społecznych, przekształca się w czysty konstruktywizm. Jest to świat wytwarzany przez ludzi bez żadnych ostatecznych fundamentów. Jest on tym samym kruchy, dlatego wymaga z naszej strony wielkiej troski o otaczającą rzeczywistość i relacje międzyludzkie, nawet

Spinoza próbował uzasadnić, że pojęcia całkowicie odpowiadają rzeczywistości, więc operacje myślowe na nich i zachodzące między nimi relacje oddają w pełni realność świata

pomimo możliwej całkowitej niezgody. W tej perspektywie to racjoniści w polityce, o których pisał Oakeshott, chcący narzucić swoją jedynie słuszną, całościową i spójną wizję, niezależnie czy opartą na myśleniu religijnym czy pozbawionym Boga, są wielkim zagrożeniem.

Ścieżka myślenia, jaką wybrał Kartezjusz, była odrzuceniem, przeciwstawieniem się i odwróceniem sposobu myślenia Tomasza z Akwinu. Włoski teolog z XIII wieku opierał się na założeniu realności świata materialnego i społecznego bez konieczności dowodzenia go. Ludzie przyjmują go na wiarę za dobrą monetę, bo tak podpowiada umysł. Dla francuskiego myśliciela ta ludzka skłonność postrzegania realności rzeczywistości danej nam z góry wymagała jednak uzasadnienia. Było

to bardzo w duchu św. Augustyna, z którego wiele czerpał. To kolejny przykład pokazujący, że augustynizm w dziejach Zachodu kilkakrotnie uruchamiał ruch myśli prowadzący do znaczących przemian społecznych, związanych ze sposobem myślenia i życiem ludzi. Wpłynął na nominalizm Ockhama, protestantyzm, jansenizm i właśnie racjonalizm. Uczynił myślenie znacznie ciekawsze niż w tradycji

tomistycznej, tak silnie obecnej zwłaszcza w Polsce, nawet jeśli często już zsekularyzowanej czy choćby przekształconej przez personalizm.

Obcość i hegemoniczność

Myśl Kartezjusza wpłynęła na Barucha Spinozę. Fascynowała go też siła ideału myślenia matematycznego. Doprowadziło go to do próby przedstawienia etyki w porządku geometrycznym, na wzór Elementów Euklidesa. Jego dokonanie skrytykował Leibniz za wieloznaczność definicji, nieoczywistość aksjomatów i błędne wyciąganie wniosków z przesłanek, wydobywając tym samym główne problemy pojawiające się w myśleniu racjonalnym.

Pochodząc z rodziny żydowskiej Spinoza, odebrał odmienną formację intelektualną, kształto-



wał się w odmiennych wyobrażeniach o świecie niż holenderscy protestanci, wśród których żył. Poznawał m.in. idee Mojżesza Majmonidesa, pozostające dla jego rówieśników nieznanne. Nie wchodziły w intelektualne instrumentarium postrzegania przez nich świata. Ten XIII-wieczny sefardyjski Żyd za sprawą arabskich przekładów poznał filozofię grecką, zwłaszcza Arystotelesa,

ale nade wszystko zajmował się teologią żydowską i interpretacją Tory. Jego słynny *Przewodnik błędzących*, choć w wersji anonimowej, wpłynął na Tomasza z Akwinu, i obok arabskich myślicieli Awicenny i Aworreosa – oddziałującego również silnie na Majmonidesa – przyczynił się do przyśwojenia arystotelizmu na grunt chrześcijaństwa, a tym samym – rozwoju tomizmu. Znacznie star-

szy nurt augustiański był do tej XIII-wiecznej nowinki intelektualnej niezbyt przychylnie nastawiony, jednak ostatecznie przyjęła się one dobrze w Kościele. Nie dziwi więc, że protestantyzm zapożyczył się mocno w myśli nietomistycznej.

Jednocześnie Spinozę fascynowała Holandia. Zwłaszcza jej doświadczenie tolerancji, która jednak nie miała się tak dobrze, jak mogłoby się wydawać. Zjednoczone Prowincje zmagaly się z wieloma problemami z nią związanymi, czego ostatecznie doświadczył Spinoza. Historia tego państwa zaczęła się od buntu prowincji północnych Niderlandów przeciwko trwającym od dekad krwawym prześladowaniom protestantów przez katolicką Hiszpanię, sprawującą na tym terytorium władzę oraz reakcję na traktat z Arras, w którym prowincje południowe uznały zwierzchność hiszpańskich władców. Unia utrechcka z 1579 r., będąca w dużej mierze walką o niepodległość, opowiedziała się natomiast za wolnością religijną, choć protestanci stanowili w niej wciąż zdecydowaną mniejszość. Doprowadzili oni jednak do utworzenia Holenderskiego Kościoła Reformowanego i przyznania mu uprzywilejowanego statusu. Tylko jego członkowie mogli pełnić urzędy publiczne. Katolickie rytuały w miejscach publicznych były przez kalwinów zabronione, a majątek kościelny zsekularyzowany, czyli przejęty przez władze publiczne. Niewiele różniło się to od prześladowań Żydów i protestantów przez katolików. Za sprawą uznawania wolności sumienia po Europie rozprzestrzeniła się jednak

wieść o szczególnej tolerancji tego kraju. Niesieni tą obietnicą przybyli do niej prześladowani przez hiszpańską Inkwizycję Żydzi, zmuszani uprzednio przez nią do przejścia na katolicyzm. Już w Amsterdamie wrócili do wiary swoich przodków. Był to przypadek rodziny Spinozy.

W nowym kraju zostali przyjęci dobrze. Władze widziały w nich nawet mniejsze zagrożenie niż ze strony katolików i niektórych sekt czy wyznań protestanckich. Zwłaszcza nieufnie podchodziły do Remonstrantów o silnym nastawieniu tolerancyjnym, do których w późniejszym okresie zbliżył się Spinoza. Spór Holenderskiego Kościoła z tymi ostatnimi na gruncie teologicznym przekształcił się w konflikt polityczny zażegnany przez Stany Generalne, które zmusiły strony do wzajemnego respektowania i powstrzymania się od ataków. Dokument przygotował wielki myśliciel tamtych czasów, Hugo Grocjusz. Gdy sytuacja polityczna się zmieniła w 1618 r., został on skazany na dożywocie i osadzony w więzieniu, z którego po kilku latach uciekł. Z tego okresu pochodzi mniej znane jego dzieło, *De imperio summarum potestatum circa sacra*, w którym opowiadał się o wyższości władzy świeckiej nad religijną. Ta pierwsza musiała jednak opierać się na znajomości Pisma Świętego, by nie gwałcić norm religijnych, choć dopuszczając odmienne odczytanie przez ludzi spraw wiary i nie prześladować ich za niezgodność z państwową interpretacją. Narodowy kościół ze swoją selektywną tolerancją jednak triumfował.

Anty-Orwell

Po zapoznaniu się z nowymi prądami intelektualnymi, zwłaszcza Kartezjuszem, Hobbesem i Grocjuszem, Spinoza odszedł od swoich religijnych korzeni. Ostatecznie gmina żydowska Amsterdamu go odrzuciła. Uznając jego poglądy zmierzające do stworzenia fundamentów harmonijnego społeczeństwa, w których każdy, niezależnie od swojej religii czy wiary mógłby spokojnie żyć w oparciu o zasady etyki dowiedzionej w sposób racjonalny i niepodważalny, nałożyła na niego charem.

Przed podporządkowaniem się niedorzecznościom władzy, popadnięciem w tyranie bądź niewolę ma chronić po pierwsze, samo na wskroś demokratyczne powołanie państwa, którego wyznacznikiem jest m.in. zmierzanie do rozumnych celów

Został wyklęty, przeklęty i wykluczony z Narodu Izraela za głoszone poglądy. Nie tylko za odmienne spojrzenie bezpośrednio w kwestii Boga, wiary i dogmatów. Rozprawiał się również z tak ważnymi postaciami w tradycji żydowskiej jak wspomniany Majmonides, którego krytykował za podejście do sposobu odczytania Biblii odbierające wszelką pewność nie tylko prostym jej czytelnikom, ale także uczonym w Piśmie. Stąd uznawał je za szkodliwe, nieużyteczne i niedorzeczne. A przecież jak Kartezjusz – tworzący również swoje główne prace filozoficzne, żyjąc w Holandii – nie odrzucał wiary. Spinoza również chciał ją na nowo odczytać.

I jak francuski myśliciel, wciąż stawiał Boga w centrum swoich myśli oraz w obrazie funkcjonowania świata.

Od Majmonidesa zaczerpnął koncepcję monizmu, która silnie wpłynęła na jego całe wyobrażenia. Doszedł ostatecznie do wniosku, że wszystko, cała Natura jest Bogiem. To prowadziło Spinozę w stronę necessytaryzmu, poglądu deterministycznego, dlatego pojawiała się krytyka podobna do tej, jaką wystosowywał Erazm w stosunku do niewolnej woli

Lutra – o zgubności głoszonych poglądów dla moralności publicznej. Zdaniem autora *Etyki*, działanie człowieka nie jest niczym innym jak rozpoznawaniem i uznawaniem za konieczne tego, co zgodne z Naturą. Jedynie w tym przejawia się jego wolność i słuszność. Spinoza próbował uzasadnić, że pojęcia całkowicie odpowiadają rzeczywistości, więc operacje myślowe na nich i zachodzące między nimi relacje oddają w pełni realność świata. Dzięki temu człowiek może go w pełni poznawać. Twierdził, że znajomość skutków zależy od znajomości przyczyn, które objawiają się ludziom jako „idee jasne i wyraźne”. Im więcej rozumiemy, tym lepiej

pojmujemy Naturę – tego bezosobowego Boga – będącą spójną, doskonałą całością, w tym także pojęć i rzeczy. Tym samym Spinoza udowodniał tezę metodą będącą przedmiotem dowodu, co wytknął XX-wieczny autor wprowadzenia do jego myśli, Roger Scruton. Na niespójność w rozumowaniu związaną z odróżnieniem myślenia i działania zwrócił uwagę natomiast francuski filozof Étienne Balibar. Zauważył również, że XVII-wieczny filozof był anty-Orwellem nieuznającym możliwości redukcji i absolutnej kontroli znaczenia słów, co w obliczu założeń o „ideach jasnych i wyraźnych”, a zwłaszcza całkowitej zgodności pojęć i rzeczy godzi w ideał spójnego i harmonijnego świata.

Myśl Spinozy i jego krytyków kolejny raz pokazuje, że racjonalizm musi opierać się na niczym nie popartym założeniu, że wszystko ze sobą współgra, każdy element świata z innymi, a także idee z rzeczywistością. Jeśli zachodzi jakaś sprzeczność, jest to błąd. Będąc zaprzeczeniem Natury, wszechświata czy innej koncepcji zakładającej jedność, należy go wyeliminować. Pojawia się on bowiem w wyniku bądź odrzucenia jej, bądź złudzenia jakiejś osoby, która będąc jedynie częścią kosmosu albo źle odczytała Naturę, albo uznała, że posiada już pełnię wiedzy. O tym co jest błędem, możemy orzec dopiero po osiągnięciu pełnej i pewnej wiedzy o Naturze. W tym tkwi z jednej strony wielki problem niemożności ostatecznego dowiedzenia samego racjonalizmu, z drugiej ustalenia, czy któryś z systemów podający się za najpełniejszy wyraz racjonalności, taki właśnie jest. Nie dziwi, że tę

niemożność różne osoby czy grupy wykorzystują, podając się za posiadaczy całej prawdy. Jedni robią to ze świętego przekonania, inni wiedzą, że chcą w ten sposób zbałamucić ludzi. A ponieważ nie ma jednej i ostatecznej metody dowodu, a tym bardziej instancji mogącej rozstrzygnąć taką sytuację, musi dojść do konfrontacji, w której liczy się nie wiedza, nawet nie racjonalne dowodzenie – różnice między Kartezjuszem, Spinozą i Leibnizem dobitnie to pokazują – lecz inne sposoby „przekonywania”, zmierzające do uzyskania pozycji hegemonicznej danej wizji.

Dopuszczenie błędu

Skoro o błędzie ostatecznie możemy orzec po osiągnięciu pełni wiedzy, to z całą pewnością nigdy nie możemy tego zrobić. Z tego problemu zdawał sobie sprawę Spinoza. Dlatego też opowiadał się za całkowitą wolnością filozofowania, myślenia i mówienia co się myśli. Był za wyznawaniem wszelkich poglądów, w tym wolności wyznawanej konfesji czy religii, jak i wolności od niej. Szedł więc dalej niż John Locke. Ściągnęło to na niego powszechną niechęć. Jak głosił podtytuł jego *Traktatu teologiczno-politycznego*, „nie tylko można dopuścić wolność filozofowania bez niebezpieczeństwa dla moralności i spokoju publicznego, lecz że i zniesienie jej pociąga za sobą zakłócenie spokoju publicznego i moralności”. Gwarantem tego miały być dwa czynniki. Pierwszy to „światło naturalne”, pozwalające każdemu człowiekowi (przynajmniej zdolnemu racjonalnie myśleć, choć sam holenderski filozof zaznaczał,

że prawa natury obejmują wszystkie osoby, także te, które „nie znają prawdziwego rozumu”, dotknięte niedorozwojem umysłowym lub psychicznie chore) dojść do właściwej wiedzy, rozpoznać harmonię i dobro Natury. Po drugie, za sprawą tego światła każdy – nie tylko filozofowie i teologowie, Żydzi, protestanci, katolicy, a nawet ateści, niezależnie, czy jest się rządzącym czy rządzonym – jest w stanie odczytać Pismo Święte, które według Spinozy nie mówi nic o objawionej wiedzy o świecie duchowym i naturalnym.

Idąc za kluczowymi rozdziałami *Traktatu*, kategorycznie oddziela filozofię od podstaw wiary. Teologia nie jest służką rozumu, ani rozum nie jest służką teologii. Rozumowanie ma natomiast kluczowe znaczenie w odczytywaniu, a tym samym poznawaniu Natury, praw natury (mocy czynienia wszystkiego, do czego jest zdolny każdy jej element) i praw naturalnych (odkrywanych przez zdrowy rozum za sprawą „światła naturalnego” z pomocą „idei jasnych i wyraźnych” oraz gwarantujących prawdziwy pożytek ludziom), a także praw boskich. Biblia nie posiada specjalnych wartości poznawczych w tym względzie, jedynie przekazuje zbiór dających się wywieść zasad działania i współżycia społecznego, z miłością bliźniego i tolerancją na czele oraz poucza o istnieniu wszechobecnego Boga, będącego sumą wszystkich doskonałości i szlachetnych wartości, któremu należy oddawać cześć.

To właśnie rozum popycha ludzi do ograniczenia swojej naturalnej siły oraz namiętności i utworzenia

państwa, przekazując mu władzę najwyższą. Jej rozstrzygnięciom muszą się podporządkować ci, którzy kierują się rozumem, a tylko to – zdaniem XVII-wiecznego filozofa – czyni ludzi wolnymi. Nie sprawia tego natomiast – twierdzi dalej Spinoza – postępowanie według własnej woli czy podążanie za swoimi namiętnościami. Przed podporządkowaniem się niedorzeczności władzy, popadnięciem w tyranie bądź niewolę ma chronić po pierwsze, samo na wskroś demokratyczne powołanie państwa, którego wyznacznikiem jest m.in. zmierzanie do rozumnych celów. Te jednak mogą być postrzegane rozmaicie, a co gorsza, mogą być one sprzeczne ze sobą. Przy braku pełnej wiedzy nie da się ostatecznie rozstrzygnąć, kto błądzi. Po drugie, działanie władzy najwyższej, zgodnie z ustanawiającą ją umową społeczną, nie jest nakierowane na pożytek rządzącego bądź rządzących, lecz ma służyć ogółowi ludzi w oparciu o zdrowy rozsądek. To założenie ma sprawiać, że obywatele lub poddani, podporządkowując się prawu, pozostają wolni, podążając za swoim rozumem w oparciu o „światło natury” oraz „idee jasne i wyraźne”. Dodatkowo rządzący oraz rządzeni w takiej sytuacji spełniają wymogi prawa naturalnego i boski obowiązek przekazany w Piśmie Świętym – posłuszeństwa władzy najwyższej, także w sprawach religijnych, nawet jeśli jest ona wroga religii wyznawanej przez obywateli. Spinoza wyciąga tę myśl z historii Żydów opisanej w Torze. Przy czym – co szło na przekór całej tradycji narodu wybranego – uznawał, że żydowskie prawo państwowe



w całości zostało stworzone przez Mojżesza na potrzeby własnego państwa, a nie było objawione przez Boga.

Spinoza czy Hobbes

Rozważając sprawy państwowe, prawo naturalne i cywilne, Spinoza wprowadza rozróżnienia na

sprzymierzeńca i wroga, zarówno wewnątrz państwa, jak i na zewnątrz. Tę kwestię w XX w. podjął Carl Schmitt, uznając opozycję przyjaciel-wróg jako kluczową dla polityki, tak jak w ekonomii określa ją zysk i strata, w moralności dobro i zło, a w estetyce piękno i brzydota. Niemiecki prawnik, krytyk liberalizmu i antysemita zwrócił również uwagę na

wielkie znaczenie Spinozy w procesie liberalizacji, postępującej neutralizacji państwa i polityki oraz „uśmiercania” Lewiatana.

Dla Hobbesa i Spinozy kluczowe było bezpieczeństwo i spokój publiczny. Anglik jednak skupiał się na uzewnętrznianych publicznie praktykach moralnych

i religijnych określanych przez władzę najwyższą. Obywatele musieli ich przestrzegać i w przestrzeni publicznej nie wykroczyć poza określone ramy. Przekonania ludzi, prywatna moralność i wyznawana konfesja mogły być praktykowane jedynie we własnym domu. Holenderski Żyd natomiast uznawał wyższość tego co wewnętrzne – wolność

myślenia, filozofowania, a także swobodę wyrażania swoich myśli i przekonań publicznie. Miało to ostatecznie sprzyjać porządkowi publicznemu, jeśli jednocześnie postępuje się w zgodzie z prawem i kultem państwowym. Schmitt sugeruje, że właśnie doświadczenie odmienności religijnej od obowiązującej w państwie nadało ten znacznie bardziej liberalny rys myśli Spinozy – zagadnienie, które nie było tak istotne dla Thomasa Hobbesa.

Choć w kolejnych wiekach liberalizacja postępowała, wiele mówiło się o neutralności państwa i dążono do niej, to wydaje się, że wciąż różnica

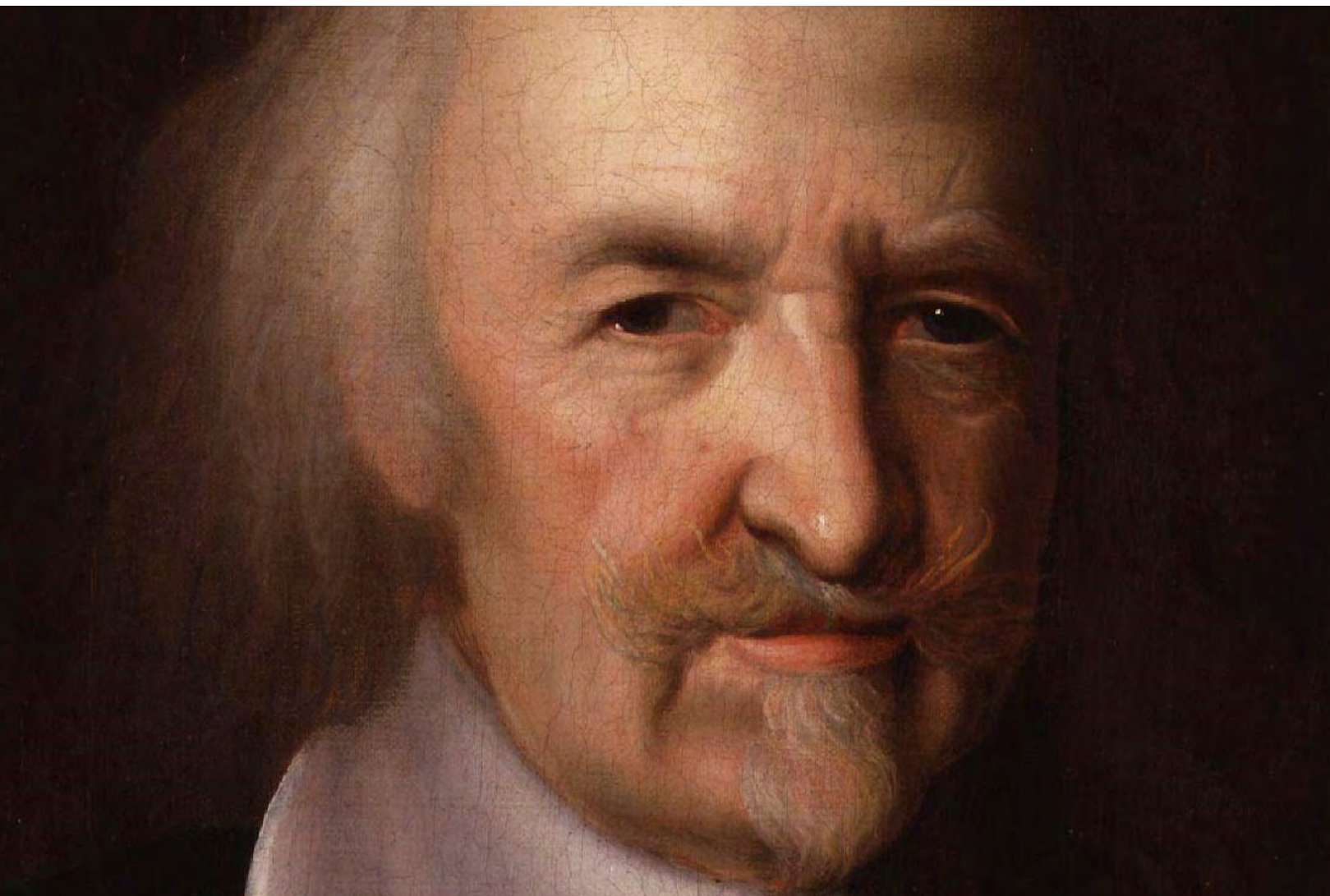
jedno, w innych drugie. To określa również hegemoniczna kultura. Z jej perspektywy ruchawki, bunty, rewolucje i utrata kontroli przez władze najwyższe czy doprowadzenie do dwuwładzy od XVI w. pozostaje wielkim zagrożeniem, powrotem do wojen domowych, choć jednocześnie niektórzy właśnie w nich pokładają nadzieję na rozwiązanie spraw i zmianę dominujących wartości i praktyk, a także zakresu wolności słowa.

Hobbesowskie podejście do władzy państwowej jest bardziej restrykcyjne. Nie tylko określa ona niepożądane postępowania. Pilnuje, by do nich nie

Rozważając sprawy państwowe, prawo naturalne i cywilne, Spinoza wprowadza rozróżnienia na sprzymierzeńca i wroga, zarówno wewnątrz państwa, jak i na zewnątrz

między podejściem Hobbesa i Spinozy jest konstytutywna w myśleniu o zakresie władzy państwowej. Co prawda, kwestia kultu religijnego straciła na znaczeniu, został jednak zastąpiony hegemoniczną kulturą określającą, co jest publicznie dopuszczalne, co narusza porządek i spokój publiczny, a także co można mówić publicznie oraz jak się zachowywać oraz co może być co najwyżej wypowiedane i praktykowane za zamkniętymi drzwiami swojego domu czy w prywatnej przestrzeni, ale i to z określonymi zastrzeżeniami. Nie panuje jednak żelazna konsekwencja. W pewnych obszarach obowiązuje

dochodziło, a jeśli już się wydarzą, karze za nie, ale także ogranicza możliwość głoszenia poglądów niezgodnych z oficjalnym hegemonicznym stanowiskiem, czy to poprzez cenzurę prewencyjną czy też karaniem za nie. W spinozjańskim podejściu rządzący również decydują o hegemonicznej kulturze i filozofii państwa. Kierując się głównie uwolnieniem ludzi od strachu i zapewnieniem jak największego bezpieczeństwa, określają, jakie działania są niewłaściwe, pozostawiając przy tym wolność do wyrażania odmiennych poglądów. Dla Spinozy nie jest to jednak dowolność, bowiem wolność



związana jest z rozpoznawaniem praw naturalnych, w tym działanie bez szkody dla innych i kierowanie się miłością bliźniego. Te wskazówki były, są i mogą być jednak rozmaicie rozumiane. Znowu pojawia się ważna u holenderskiego filozofa kwestia posiadania pełni wiedzy o sprawach naturalnych, a więc także kulturowych. Kto ma decydować o tym, które rozumienie pojęcia „naturalne” jest tym właściwym, którym mamy się kierować? Tym zakorzenionym w tradycji chrześcijańskiej z jej przygodnymi i autorytatywnymi decyzjami? A może podążać za rozumowaniem odrzucającym ją, bliższym naukowemu pojmowaniu natury, z całą jego dwuznacznością związaną z arbitralnością wyboru tego, co jest akceptowalne, a co należy poskramiać, kanalizować, przewyższać dla dobra ludzi i społeczeństwa lub powstrzymać się pomimo technicznych możliwości, uznając za nieetyczne i zbyt mocno ingerujące?

Każde myślenie o świecie musi odnosić się do tego, co naturalne, nie będące wynikiem działań ludzi. Określać, co z tego jest niepożądane, na co chcemy mieć wpływ, w jakich przypadkach ingerować,

nie pozostawiając naturze wolnej ręki. I odwrotnie, określać to, co przewyższa ludzkie możliwości, nie tylko techniczne, ale także etyczne czy moralne, co chcemy pielęgnować właśnie jako wynik naturalnego stanu czy naturalnych procesów. To wszystko popycha do uznania narracji naturalistycznych jedynie za konstrukty społeczne, odwołujące się do wybranych elementów natury i słownika naturalistycznego głównie z przyczyn pragmatycznych – łatwości przedstawiania relacji przyczynowo-skutkowych, dużej skuteczności w przekonywaniu, także ze względu na dostrzeganie ewidentnych korzyści dla ludzi i społeczeństw, zwłaszcza w oczach ich głosicieli. ●!

Ciąg dalszy we wrześniowym numerze Liberté!

L!

„Bariery dla liberalizmu” Piotra Beniuszysa w Bibliotece Liberté!

Spoiwem dla 27 esejów zawartych w książce jest naświetlenie współczesnych realiów percepcji liberalizmu w jego zderzeniu się z różnorodnymi myślowymi czy mentalnościowymi barierami, często głęboko zakodowanymi w człowieku, które utrudniają – od zawsze lub we wzmożony sposób ostatnio – umacnianie liberalnych postaw i odnoszenie przez ideę kolejnych sukcesów w politycznych starciach z konkurencyjnymi sposobami myślenia.

Kluczem do przezwyciężenia kryzysu liberalizmu może się okazać nie zmiana idei liberalnej na chwilowo bardziej modną, lecz zmiana mentalności ludzi, wraz z przetaczaniem się jednych kryzysów, pojawianiem innych, zmianami pokoleniowymi. Wydaje się, że liberatowie potrzebują odwagi. Po to, aby z większą determinacją bronić własnych wartości przed nacjonalistami, socjalistami, klerykami i populistami. Ale potrzebują także odzyskać zdolność wlewania w serca ludzi otuchy, odwagi i optymizmu. Zebrane w tej książce teksty mogą pomóc tej odwadze poszukiwać.



PIOTR GÓRSKI

Historyk idei, eseista, komentator spraw publicznych. Publikował m.in. w „Res Publice Nowej”, „Polityce”, „Teologii Politycznej”, „Polska The Times”. Komentował wydarzenia polityczne i społeczne m.in. w Polsat News, TVP Info, TOK FM, Jedynce Polskie Radio. Przez wiele lat redaktor „Res Publici Nowej”, współpracował z Polityką Insight przy redagowaniu raportów. Koordynował liczne projekty i wydarzenia m.in. dotyczące społeczeństwa obywatelskiego, kultury, świata cyfrowego. Moderator debat publicznych. Tworzy serial idei Główne nurty demokracji liberalnej. Tańczy w miejscach publicznych.



PAKT MIGRACYJNY SZANSA, A NIE ZAGROZENIEM

PAWEŁ WOJCIECHOWSKI

REFUGEES

WELCOME

Na pytanie (w wersji Kaczyńskiego) „Czy akceptuje pan/pani politykę rządu sprzeciwiającą się przymusowej relokacji nielegalnych imigrantów”, Polacy w zdecydowanej większości odpowiedzieliby „Tak”. Choć sprzeciw wobec relokacji nie ma nic wspólnego ani z polityką rządu, ani z unijnym paktem migracyjnym i uchodźczym, zwanym w skrócie „paktem migracyjnym”. Absurdalność tego pytania polega nie na tym, że nie jest nam potrzebna debata o uchodźcach i migrantach, tylko na tym, że dylemat jest całkowicie pozorny.

Od lat największym zagrożeniem dla trwałości Unii Europejskiej są spory dotyczące polityki migracyjnej. Narodowi populiści uwielbiają wykorzystywać tę kwestię do wewnętrznej gry wyborczej. Wystarczy przypomnieć, że osiem lat temu przed wyborami Jarosław Kaczyński straszył uchodźcami, którzy mieli przenosić niespotykane już w Europie groźne choroby. W kolejnych wyborach sugerował, że już pojawiły się objawy cholery i rozmaite pasożyty.

Niechęć do imigrantów zawsze była użytecznym paliwem wyborczym. Jej ofiarami stali się na przykład ci Polacy, którzy masowo wyjechali za pracę do Wielkiej Brytanii i Holandii, zaraz po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Geert Wilders, lider holenderskiej Partii Wolności stworzył anty-polski portal, na którym obywatele tego kraju mogli donosić

decyzji – wyrażonej w referendum – nie może odżafować większość Brytyjczyków.

Na szczęście zapowiedź Jarosława Kaczyńskiego o polskim referendum migracyjnym daleka jest od brexitowej dramaturgii. Głównie dlatego, że ten plebiscyt to pomysł sztuczny, wymyślony w partyjnych gabinetach. Służyć ma zaś wyłącznie do straszenia obcymi, tak by zmobilizować swoich zwolenników. Najważniejsze jest to, że ma się odbyć w dniu wyborów, aby stworzyć iluzję, że obywatele opowiadają się za władzą, która podobno ma jakiś, choć nie wiadomo jaki, problem z Unią rozwiązać, i przed obcymi obronić.

Na pytanie (w wersji Kaczyńskiego) „Czy akceptuje pan/pani politykę rządu sprzeciwiającą się przymusowej relokacji nielegalnych imigrantów?”, Pola-

Zapowiedź Jarosława Kaczyńskiego o polskim referendum migracyjnym daleka jest od brexitowej dramaturgii. Głównie dlatego, że ten plebiscyt to pomysł sztuczny, wymyślony w partyjnych gabinetach

na Polaków. Natomiast, w Wielkiej Brytanii zwolennicy Nigela Farage, zwanego „ojcem Brexitu” insynuowali, że Polacy wyłapują i zjadają tabędzie w parkach w Londynie. Takie działania można naturalnie oceniać wyłącznie z perspektywy walki o władzę, gdyby nie to, że mogą mieć one zgubne konsekwencje. Pamiętajmy, że właśnie Farage doprowadził do Brexitu. Dziś tej nieodwracalnej

cy w zdecydowanej większości odpowiedzieliby „Tak”. Choć sprzeciw wobec relokacji nie ma nic wspólnego ani z polityką rządu, ani z unijnym paktem migracyjnym i uchodźczym, zwanym w skrócie „paktem migracyjnym”. Absurdalność tego pytania polega nie na tym, że nie jest nam potrzebna debata o uchodźcach i migrantach, tylko na tym, że dylemat jest całkowicie pozorny.

Unia nas do niczego nie zmusza. Pakt migracyjny daje trzy możliwości: można przyjąć dwa tysiące uchodźców, zapłacić 20 tys. euro za każdego nieprzyjętego albo wesprzeć działania zaradcze. Ponadto, jako kraj znajdujący się pod presją migracyjną z powodu napływu uchodźców wojennych z Ukrainy, tak jak Czechy, możemy uzyskać zwolnienie z mechanizmu relokacji. Po co nam więc kosztowne referendum, skoro już dzisiaj znamy odpowiedzi na każde pytanie związane z relokacją migrantów, nawet te najbardziej absurdalne, kompromitująco fałszywe? Może wcale nie chodzi wyłącznie o podkreśnianie wyborczych nastrojów, ale o to, by przykryć rzeczywiste problemy, wliczając te związane z migracją?

Rząd postawił mur na pograniczu z Białorusią, ale jakże trudno mu się przyznać, że jest nieszczelny. Tędy codziennie przemycane są dziesiątki nielegalnych migrantów. Polska mogłaby się starać o pieniądze z Brukseli nie tylko na uchodźców z Ukrainy, ale również na ochronę granicy z Białorusią. To właśnie dlatego w naszym własnym interesie powinno być wspieranie zasad solidarności w ramach paktu. Głównym założeniem paktu migracyjnego jest przecież ochrona granic zewnętrznych. Mechanizmy solidarności mają dawać wsparcie państwom członkowskim znajdującymi się pod presją migracyjną, aby mogły skutecznie chronić granice zewnętrzne UE i dawać komfort bezpieczeństwa całej wspólnocie. Bez tych mechanizmów Unia szargana będzie kolejnymi kryzysami, które mogą ograniczyć wolny przepływ ludzi w ramach strefy Schengen.



Photo by Kevin Bücker on Unsplash



Photo by Michel E on Unsplash

A problem jest poważny. Już w tym roku napływa z Polski do Niemiec dwa razy więcej nielegalnych imigrantów niż w roku ubiegłym. Tylko w Brandenburgii w pierwszej połowie 2023 r. znalazło się ich ponad 10 tys. Władze landów wschodnich coraz częściej apelują do rządu federalnego o wprowadzenie stałych punktów kontroli na granicy z Polską. Nikt nie wie, jak się sytuacja rozwinie.

Dlatego wszelkie obstrukcje polskiego rządu wobec paktu migracyjnego to igranie z ogniem. Nie tylko odwołujemy możliwość skorzystania z instrumentów wsparcia, ale potencjalnie, gdybyśmy nie „upilnowali” naszej wschodniej granicy, to narażamy się na ryzyko uciążliwości związanych z kontrolą, a nawet, w drastycznym scenariuszu, do ograniczenia swobody przemieszczania na na-

granic zewnętrznych, tak aby nie niszczyć reguł strefy Schengen.

Utrata swobody przepływu osób, jednej z czterech swobód unijnych, byłaby destrukcyjna dla jednolitego rynku. Uczestnictwo we wspólnym europejskim rynku jest niedocenioną korzyścią z integracji unijnej. Polski Instytut Ekonomiczny wyliczył, że gdyby nie udział w jednolitym rynku, polskie PKB per capita byłoby niższe o 31 proc.! W okresie 18 lat od przystąpienia do UE, polskie PKB w przeliczeniu na osobę podwoiło się, ale ponad 1/4 zależy bezpośrednio lub pośrednio od UE.

Poza analizą efektów pośrednich, na które może mieć wpływ polityka migracyjna, omawiane są efekty bezpośrednie. Większość z nich dotyczy liczenia

Prawdziwym dylematem, przed którym stoimy, nie jest na pewno „wymagowany” przymus relokacji, ale określenie zakresu wzmocnienia unijnych kompetencji w ochronie granic zewnętrznych, tak aby nie niszczyć reguł strefy Schengen

szych wewnątrzunijnych granicach. Bez zwiększenia kompetencji UE niemożliwe jest wdrożenie mechanizmów solidarności, które wzmocnią ochronę granic zewnętrznych. Prawdziwym dylematem, przed którym stoimy, nie jest na pewno „wymagowany” przymus relokacji, ale określenie zakresu wzmocnienia unijnych kompetencji w ochronie

saldo fiskalnego, czyli bilansów zysków i strat z migracji netto. Dla kraju przyjmującego jest dodatni. Tylko analizując saldo ubezpieczeń społecznych, nawet bez wpływów podatkowych, widać ogromną korzyść z migrantów czasowych. Według danych ZUS na koniec roku 2022 liczba ubezpieczonych cudzoziemców wyniosła nieznacznie ponad

1 milion (1,06 mln), czyli 6,5 proc. wszystkich ubezpieczonych. Ponieważ mniej zarabiają, to można szacować, że wpłaty na Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (FUS) cudzoziemców stanowią obecnie ok. 5,2 proc. wszystkich wpłat, podczas gdy wypłaty świadczeń emerytalnych i rentowych dla nich to tylko 0,15 proc. wydatków Funduszu. Krótkoterminowe saldo fiskalne, czyli różnica pomiędzy płaconymi przez obcokrajowców składkami a wypłatami świadczeń do ZUS, jest dla FUS korzystne,

wsparciem rządowych agend.

Tymczasem bez migracji Polska nie będzie się już tak dynamicznie rozwijać, głównie ze względu na przyspieszającą depopulację i starzenie ludności. Jest bowiem coraz mniej osób w wieku produkcyjnym, rośnie za to liczba osób w wieku nieprodukcyjnym. Rządowa strategia demograficzna całkowicie ignoruje migrację, a obecny trend pokazuje, że tę lukę będą musieli w znacznym stopniu wypełnić

Bez migracji Polska nie będzie się już tak dynamicznie rozwijać, głównie ze względu na przyspieszającą depopulację i starzenie ludności

a jeśli uwzględnimy dodatkowo płacone przez nich podatki oraz wypłacane inne świadczenia, to okazuje się dla polskiej gospodarki bardzo korzystny.

Naturalnie te proporcje zaczną się z czasem zmieniać. Wraz ze wzrostem liczby ubezpieczonych cudzoziemców będzie rósł udział wpływów składkowych, ale także wydatki na ich emerytury. W długim terminie w największym stopniu na saldo fiskalne będzie miał wpływ wzrost produktywności, który zależy od możliwości podnoszenia kwalifikacji przez cudzoziemców. Rzecz sprowadza się więc do polityki integracyjnej, która umożliwi przekształcanie migracji czasowej w osiedleńczą. Rząd nie wypracował jednak żadnej strategii migracyjnej. Nie wiadomo, ilu migrantów chcemy przyjmować. Polityka integracyjna jest w powijakach, na dodatek zostawiona samorządom z bardzo ograniczonym

migranci!

Na skalę oczekiwań można też spojrzeć z punktu widzenia wskaźnika obciążenia demograficznego. Z raportu ZUS o ubezpieczeniu obcokrajowców wynika, że aby ten współczynnik utrzymał się na dotychczasowym poziomie, który wynosi 39 proc., w kilku najbliższych latach liczba cudzoziemców w wieku produkcyjnym musiałaby corocznie przyrastać o 200-400 tys.

Nie ulega więc wątpliwości, że Polska potrzebuje migrantów zarobkowych. Dlatego właśnie rząd powinien stworzyć warunki dla odpowiedzialnej debaty o naszej strategii migracyjnej, i jej związku z unijnym prawem. Zamiast organizować referenda bez znaczenia, lepiej byłoby aby władze w trakcie dalszych prac nad paktem migracyjnym wniosły

propozycje wzmacniające mechanizmy solidarnościowe. Ich brak nakreśla przecież narodowe egoizmy. Zwiększa, a nie zmniejsza ruchy odśrodkowe w samej Unii Europejskiej. Zagraża korzyściom, jakie odnosimy z pogłębionej integracji. Rolą odpowiedzialnych polityków jest łagodzenie antymigracyjnych nastrojów, a nie podsycanie ksenofobii. Tymczasem prezes PiS po raz kolejny wraca do straszenia migrantami. Łącząc referendum z wyborami, chce stworzyć iluzję plebiscytu, aby obywatele mogli opowiedzieć się za władzą, która ma nas przed obcymi obronić. Wystarczy przypomnieć jego słowa sprzed ośmiu lat. „Chcicie państwo, żeby w Polsce były strefy, gdzie rządzi szariat? [...]. Jeżeli chcemy tego uniknąć, to musi zwyciężyć Prawo i Sprawiedliwość”. ●

Od czerwca dział „Ekonomia dziś” będzie realizowany we współpracy z Instytutem Finansów Publicznych.



Instytut Finansów Publicznych (IFP) to pierwszy w Polsce think-tank zorientowany kompleksowo na finanse publiczne. IFP stoi na straży przejrzystości i efektywności finansów publicznych, stabilnego, przewidywalnego i prostego systemu danin publicznych oraz praworządności i wolności gospodarczej z uwzględnieniem wyzwań dotyczących klimatu i środowiska. IFP organizacją pozarządową typu watch dog – tworzymy ośrodek ekspercko-analityczny reprezentujący interes społeczeństwa i obywateli oraz aktywnie uczestniczymy w debacie publicznej.

Założycielem i fundatorem IFP jest dr Sławomir Dudek – ekonomista i ekspert w dziedzinie finansów publicznych z ponad 23-letnim doświadczeniem w Ministerstwie Finansów. Przez wiele lat kierował Departamentem Polityki Makroekonomicznej.

www.ifp.org.pl

https://linktr.ee/ifp_orgpl



PROF. PAWEŁ WOJCIECHOWSKI

Przewodniczący Rady Programowej Instytutu Finansów Publicznych. Od kilku lat jest również dyrektorem w londyńskiej Whiteshield, koordynatorem korytarza transportowego Ren-Alpy w strukturach UE oraz profesorem we Wszechnicy Polskiej w Warszawie. W latach 2006-2022 pełnił funkcję ministra finansów, wiceministra spraw zagranicznych, doradcy premiera, prezesa Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych, ambasadora przy OECD głównego ekonomisty ZUS oraz głównego ekonomisty Pracodawców RP. W latach 1999-2005 był prezesem PTE Allianz Polska S.A., a wcześniej prezesem innych spółek rynku finansowego, dyrektorem oddziału Polskiego Banku Rozwoju S.A. oraz kierował projektami UNDP i USAID. W różnych okresach swojej kariery wykładał gościnnie na uniwersytetach Harvarda, John Carroll i Akademii Leona Koźmińskiego. Ukończył ekonomię na John Carroll University. Absolwent studiów doktoranckich na Case Western Reserve University. Stopień doktora nauk technicznych uzyskał w Instytucie Badań Systemowych Polskiej Akademii Nauk.

MÓJ DOM, MOJE PIENIĄDZE

MACIEJ CHMIELEWSKI

Patriotyzm to nie tylko tematyka narodowa, wojenna, niepodległościowa. To nie wojny i oblężone twierdze z poczuciem lepszości od wszystkich innych. Patriotyzm to troska o interes swojego kraju, miasta, okolicy. Także interes gospodarczy.

Litwo, ojczyzno moja...” wydukane na środku klasy. Różaniec zapleciony niczym kastet. Walnął i odcisnął krzyżyk pod okiem. Raz sierpem, raz młotem – w tęczową czy beżową hołotę. Przecież sam biskup prosił, rycerstwo ortalionu w poczuciu obowiązku sunie przez miasto. Morze rąk zaraz uniesie się w górę, ramię w ramię przepasane bielą i czerwienią. Z kotwicą powstańczą chórem wykrzyknie: Sieg Heil!!! Ja tylko 5 piw proszę, ortalion Made in China. Aż nazwać siebie patriotą.

Zwiedzając kościoły i cmentarze, po obu stronach dowolnej granicy państwowej znajdziemy groby, pomniki, epitafia żołnierzy, ofiary tych samych wojen. Czcimy tych, którzy zabijali tamtych. Tamci czczą tych, co zabijali naszych. Kuriozum? Przecież znów złożymy wieńce, wśród patriotycznej pompy i dostojnego nadęcia mundurów odczytamy apele poległych i podziękujemy patriotom. Tamci zrobią dokładnie to samo, przecież to jest patriotyzm. Tak trzeba. Po co pamiętać, że wojna to śmierć, śmierć to ból – nieważne, kto zaczął. Aktor cudownie odegra, poeta napisze, jak to wspaniale umierać za ojczyznę. Ktoś na ochotnika? Wojny się łatwo zaczyna, trudno zaś kończy.

Zawłaszczenie pojęcia patriotyzmu przez narodową prawicę mimowolnie odsuwa od niego wszystkie pozostałe środowiska, szczególnie te liberalne. Tymczasem patriotyzm to nie tylko tematyka narodowa, wojenna, niepodległościowa.

To nie wojny i oblężone twierdze z poczuciem lepszości od wszystkich innych. Patriotyzm to troska o interes swojego kraju, miasta, okolicy. Także interes gospodarczy. W gospodarce wolnorynkowej oczywistym jest równouprawnienie dostawców krajowych i zagranicznych, jednakże to od nas zależy końcowy wybór. Patriotyzmem jest preferowanie w swoich zakupach producentów krajowych, dokonywanie zakupów w sklepach należących do polskiego kapitału czy korzystanie z polskich usługodawców. Polskich, a także dużo bliżej – lokalnych. Oczywiście nie chodzi o to, by kupować to co gorsze i droższe, ale by swoje po prostu wspierać. To także nam się opłaca – dostawca zagraniczny marże wywiezie z gospodarki, zarobek dostawcy krajowego pozostanie w kraju, na czym także ja w dłuższej perspektywie skorzystam. Doskonale rozumiem do Francuzi, Żydzi czy Japończycy – kupią zagraniczne tylko wtedy, gdy będzie znacznie lepsze od krajowego. To w żaden sposób nie kłóci się z wartościami liberalnymi – decyzje zakupowe wciąż odbywają się wolnorynkowo, własny przemysł musi nadążać za ofertą zagraniczną, by być wybranym. Po prostu jest preferowany, gdy ma ofertę tak samo dobrą jak obcokrajowiec. Tylko tyle i aż tyle. W tym nie ma żadnej ideologii, jest biznes. Marża obcokrajowca trafi zagranicę, marża produkcji krajowej zostanie w kraju i tu będzie dalej inwestowana.

Patriotyzm to także troska o dobry wizerunek. Bo dobry wizerunek to korzyści, a korzyści to

pieniądze, na których wszyscy korzystamy, także ci najstąbiej zarabiający. Patriotyzm to także kwestie podatkowe. Nie jest nią samo płacenie podatków – każdy rząd każdego państwa marnuje zdecydowaną większość otrzymywanych pieniędzy, lepiej, by one zadziały dla gospodarki wydane gdzie indziej. Ale gdy już te podatki i tak płacimy, to w Polsce mamy wpływ na to, gdzie trafi część należąca się samorządowi. Jako mieszkańcy Warszawy trudno mi zrozumieć lekceważąco-masochistyczne podejście wielu przyjezdnych mieszkańców, którzy choć zdecydowali

tak traktować producentów z państw trzecich. We wszystkich dojrzałych krajach UE zasada zakupów publicznych jest prosta – najpierw kupujemy krajowe, potem unijne, a jak się nie da, to dopiero szukamy gdzie indziej. W głowie się nie mieści, jak można dopuścić do sytuacji, w której koreański Hyundai wygrywa z polską Pesą duży przetarg na porównywalne cenowo i jakościowo tramwaje. Produkowane w Korei i stamtąd przywożone do Warszawy. Oczywiście brak jakichkolwiek dymisji w ratuszu. Prawo przetargowe umożliwia przyznanie punktów w ocenie

Patriotyzm to także troska o dobry wizerunek. Bo dobry wizerunek to korzyści, a korzyści to pieniądze, na których wszyscy korzystamy, także ci najstąbiej zarabiający

się związać swe życie z Warszawą, to podatki wciąż płacą w rodzinnych miejscowościach. Tu korzystają z dróg, przedszkoli itp. Ale zamiast płacić na swoje, wolą finansować je swoim dawnym sąsiadom. Gdzie logika?

Patriotyzm gospodarczy jest czymś, czego wciąż się uczymy. Choć na poziomie konsumenckim zachłyśnięcie zagranicznym minęło, to w zakupach publicznych on niemal nie występuje. Przepisy unijne zmuszają nas do traktowania producentów z UE tak, jak krajowych – to oczywiście, jesteśmy jednym rynkiem. Ale nie musimy

oferty za produkcję w UE i wystarczyło w SIWZ przyjąć za to taką punktację, by żaden producent z państwa trzeciego nie był w stanie tego nadrobić pozostałymi kryteriami. Tak się robi na całym świecie. Nadmienimy, że w samej Polsce mamy kilku producentów tramwajów. Ministerstwo Obrony Narodowej, rozbijając swój bank zakupowy, sprawia wrażenie, jakby polskiego przemysłu po prostu nie lubiło. Dokonując ogromnych, już nawet na skalę światową zakupów, polski przemysł zbrojeniowy pomijamy lub sprowadzamy do roli serwisu olejowego. Brak udziału w produkcji, rozwoju, nawet montażu.

Czołgi z półki, samoloty z półki, rakiety z półki. Wszystko z półki – zaprojektowane i wyprodukowane za granicą. Bez udziału polskiego przemysłu, polskich inżynierów. Bez żadnej korzyści dla naszej gospodarki, bez transferu technologii. Często także niedostosowane do polskich warunków eksploatacji – spełniające wymogi tego wojska, które je zamawiało – tego na drugim końcu świata. Ktoś powie, że swojego nie mamy. Mariusz Błaszczak niszczy nawet to co mamy – zbierające bardzo dobre recenzje Kraby rozdajemy na Ukrainę, kupując gorsze z Korei. Oczywiście też z półki. W MON powstał nawet pomysł zakupu bojowych wozów piechoty w momencie, gdy nasz rodzimy Borsuk był już na etapie testów przedprodukcyjnych. Z perspektywy wojska tak pewnie jest lepiej, dostają szybciej gotowy sprzęt. Jednakże idea cywilnego nadzoru nad armią jest szersze spojrzenie na różne potrzeby. Czasem trzeba zainwestować, mieć dzisiaj gorzej, by jutro było lepiej. Spójrzmy na Turcję – dwadzieścia lat temu kupowała wszystko, dziś jest w stanie produkować sprzęt na światowym poziomie. Zakupy zbrojeniowe tworzą podwaliny pod cywilne produkty. GPS,

silnik odrzutowy? Mało kto pamięta, że internet powstał jako rozproszona baza danych amerykańskiego wojska.

Polska osiągnęła obiektywnie ogromny skok cywilizacyjny po zmianach ustrojowych, szczególnie po wejściu do UE. Z kraju trzeciego niemal świata awansowaliśmy do może i końcówki listy, ale jednak państw wysoko rozwiniętych. Wyzwania, przed jakimi stoi dziś nasza gospodarka, to przejście z bycia zapleczem produkcyjnym do posiadania własnej tożsamości. Ku temu trzeba własnych firm – własnych produktów, własności intelektualnej – wysokomarżowej wartości dodanej, jaką jesteśmy w stanie sami wytworzyć. Inaczej, jak Hiszpania czy Portugalia pozostaniemy w pułapce średniego dochodu – bogatsi od Białorusinów czy Ukraińców, ale wciąż z zazdrością patrzący za Odrę. By to się zadziało, potrzebujemy polskich firm, a te, by się rozwinąć, potrzebują sprzedaży i dochodu. Tylko wtedy staniemy się silnym krajem o dużym znaczeniu. Takim, gdzie będziemy mogli być dumni ze swojego dorobku, a nie tylko ze sztucznie wykreowanego nadęcia. ●



MACIEJ CHMIELEWSKI

Manager specjalizujący się w handlu detalicznym i transformacji biznesu. W dotychczasowej karierze kierował inwestycjami takimi jak uruchomienie nowego centrum logistycznego w Bukareszcie czy budowa dystrybucji ecommerce w kilku miastach w Polsce. Absolwent Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, liberał, wolnorynkowiec, a nade wszystko wolnościowiec uznający za najważniejszy obowiązek państwa ochronę obywatela przed samym państwem.

W POSZUKIWANIU ODPOWIEDZI NA PALĄCE PYTANIA

SYLWIA DZIEMIŃSKA

*Bez Ciebie bowiem [czytelniku – przyp. red.] działalność
pisarska byłaby bezsensowna i bezcelowa,
I dlatego sama przez się stanowi wyraz nadziei,
ponieważ pisanie zakłada istnienie przyszłości,
w której będzie swoboda czytania.
Margaret Atwood, Palące pytania*

Koło książki Margaret Atwood trudno przejść obojętnie. Autorka *Opowieści podręcznej* w zetknięciu z wydarzeniami i lekturami zadaje *Palące pytania*, na które nie sposób odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Jest to zbiór esejów stworzonych przez nią przez dwie dekady. Składa się z pięciu części zawierających rozważania, nad którymi pochylała się Atwood: polityka, przyszłość, rola pisarza w świecie, kryzys klimatyczny, sytuacja kobiet i inne, składające się na obraz świata malowany przez nią zarówno jasnymi, jak i ciemnymi barwami.

Co będzie dalej?

Pierwsze pytanie ma istotną funkcję i działa tym lepiej, im mniejsza jest szansa na uzyskanie odpowiedzi. Porusza nas poprzez chęć rozwikłania tajemnicy – tutaj Atwood porusza temat wyprawy Johna Franklina (opisany w książce *Na zawsze w lodzie*) i jej klęski w 1845 roku. Co sprawiło, iż ta katastrofa wzbudziła tyle emocji, domysłów, próby samodzielnej eksploracji (podejmowane przez wielu śmiałków, niekoniecznie badaczy) miejsca, w którym znaleziono zwłoki trojga uczestników ekspedycji – w tym dość dobrze opisane w eseju ciało Torringtona, idealnie zachowane w lodzie? Otóż – tajemnica. Osoby znikające bez śladu, jak zauważa Atwood, nie umierają w ludzkiej świadomości. Błąkają się w archiwach i zakamarkach ludzkich umysłów niczym dusze osób niepochoowanych w mitologii greckiej, nie mając wytchnienia i nie dając go bliskim i ciekawskim. Ludzie więc szukają i szukają, i dopasowują kawałki układanki, by uzyskać pełny obraz. Nie ma nawet znaczenia,

czy będzie makabryczny czy choćby najbardziej prozaiczny (jak znalezienie przyczyny śmierci marynarzy na długich rejsach – zatrucie ołowiem z puszek z konserw) – byle rozwiązać tajemnicę i dać zaginionym odejść.

„Co będzie dalej?” podnosi też karki zgięte przez reżimy. W zetknięciu z okrucieństwem, które panoszy się coraz bardziej przy absurdach totalitarnych władz w końcu zawsze pada pytanie: „Ile jeszcze?” Przecież po nawet najciemniejszej nocy musi nastać świt. W tym miejscu Atwood daje nadzieję i odczarowuje nieco Orwella jako rozgoryczonego pesymistę – pokazuje jego ogromną nadzieję pokładaną w najsilniejszej broni przeciw uciskowi – prostą, elementarną, ludzką przyzwoitość. Ta przyzwoitość odeszła w przeszłość reżim w Roku 1984 i chore fanaberie fanatyków w Gileadzie z *Opowieści Podręcznej*. Czytanie dzieła tak dobrej pisarki o tak aktualnym temacie było strasznym przeżyciem, zlewanie się dystopii z niebezpiecznie bliską jej rzeczywistością zatrzaża (gdy po lekturze podzieliłam się na pewnym forum informacją, że przez jakiś czas obawiałam się korzystać z wplatomatu, szybko okazało się, że nie byłam jedyną) – w takiej sytuacji każdy mały symbol sprzeciwu, każdy miły gest ze strony sojusznika czy sojuszniczki, każda małe światełko nadziei może stać się częścią łuny zwiastującej świt.

Sztuka jest naszą naturą

W kolejnej części Atwood rozwodzi się między innymi nad sytuacją pisarza – czy jest agentem politycznym, czy cokolwiek „musi” i jak wygląda

jego „obowiązek”. Pokusa uczynienia z pisarzy narzędzi dla polityków i aktualnie dominujących idei, ideologii, jest wprost przez autorkę *Opowieści podręcznej* wyśmiana. Są oczywiście reporterzy, dziennikarze lub po prostu twórcy, których absorbuje ta tematyka, jasne. Wielu powieściopisarzy i poetów jednak wobec polityki przyjmuje postawę dziecka z „Nagich szat cesarza”: stwierdza ono, że cesarz jest nagi nie przez nieposłuszeństwo lub złe intencje, ale dlatego, że widzi człowieka bez ubrań. A potem jest zdziwione, że dorośli się cze-

jak mają tworzyć literaturę i narracje o środowisku. Trudno mieć do niej o to pretensje – niech rzuci kamieniem autor, którego reakcje na jego tekst nigdy nie skłoniły do fantazji o T-shircie z napisem w stylu „napisz własną wartościową książkę”. Później jednak...

Rozważa zespolenie sztuki z naturą. Można się dowiedzieć między innymi, że w wymarłym świecie nie będzie pisarzy ani czytelników chętnych poznać ich dzieła. Że sam fakt, iż człowiek do-

„Co będzie dalej?” podnosi też karki zgięte przez reżimy. W zetknięciu z okrucieństwem, które panoszy się coraz bardziej przy absurdach totalitarnych władz w końcu zawsze pada pytanie: „Ile jeszcze?”

piają. To sprawia, że powieściopisarze często są powodem ataku, a sztuka dla wielu osób radykalnych postrzegana jest jako zagrożenie. Nie bez powodu Atwood twierdzi, że „o tym, jak bliskie wolności jest społeczeństwo, świadczy to, na ile rozmachu pozwala ono ludzkiej wyobraźni i nieskrępowanemu głosowi człowieka”¹.

Dla autorki *Opowieści podręcznej* ważna jest także relacja sztuki z naturą. Z początku z goryczą opowiada o wielu kaznodziejach, niezwykle chętnych mówić głupim i niepokornym pisarzom,

żył dzisiejszego dnia jest skutkiem... opowieści. Widząc kogoś, kto zjadł roślinę, która go zabiła, świadkowie dedukowali jej trujące właściwości i przekazywali tę wiedzę dalej. Odkrycie, że krokodyl szybko biega tylko w linii prostej i skręca w wolniej niż człowiek, i przekazywanie tego faktu w opowieściach także zapewne przyczyniło się do przetrwania wielu jednostek. Opowieści (najlepiej z fabułą, tak je łatwiej zapamiętać) kształtowały świat i świadomość ludzką przez wieki. I tak, od pierwszych historii o tym, jak upolować antylopię i nie umrzeć po spożyciu jagód świat przeszedł

do blogów z przepisami i poradników jak walczyć o swoje prawa pracownicze. A ten, kto choć trochę miał do czynienia z SEO, wie, że najwyżej w wyszukiwarkach pozycjonują się dobre opowieści (stąd na wielu stronach zanim dojdzie się do przepisu na ciasto, trzeba przescrollować historię o babci, która niegdyś piekła placki w piecu kaflowym). Wiele jest dyskusji o tym, czym jest dobra opowieść, a czym nie jest. To można rozszerzyć na całe pojęcie sztuki. Według Atwood jedno jest pewne: ani te dyskusje ani sama sztuka nie przetrwają w świecie pozbawionym bioróżnorodności – zieleni, która produkuje tlen i utrzymuje znośną dla człowieka temperaturę, ognia, wody i zwierząt, które kiedyś traktowane jak pobratymcy, obecnie często nie widzą choćby promienia słońca w hodowlach przemysłowych. Co pisarze i artyści mają z tym robić? Ten dylemat pisarka zostawia im do rozstrzygnięcia.

Kto ma być Panem?

Dałam się złapać w pułapkę i zaczęłam szukać w esejach z 2014-2016 roku dokładnej odpowiedzi na zadane pytanie. Jest to dla mnie na tyle intrygujące, że zapomniałam o specyfice Atwood, która choć pokazuje rzeczywistość pod różnymi kątami, w najbardziej palących kwestiach po prostu zmusza do namysłu. Tu zaczyna od lekcji, którą czerpie z rozmowy Humpty’ego Dumpty’ego z tytułową postacią Alicji w *Krainie czarów*. Po wierszu złożonym z niemal samych neologizmów ten pierwszy dumnie twierdzi: „Gdy ja używam

jakiegoś słowa (...) oznacza dokładnie to, co każę mu oznaczać... ni mniej, ni więcej”. Na pytanie Alicji: „czy potrafisz nadawać słowom tak wiele znaczeń?” odpowiada: „Pozostaje pytanie... kto ma być panem... to wszystko”². Kto ma być panem... Prowadzi to do licznych pytań o to, czy język determinuje myśli, czy jakkolwiek myśl bez niego by powstała, czy da się w jednym języku przekazać coś, czego w innym się nie wyrazi... To kolejne zagadnienie, z którym zostawia czytelnika Atwood. Wyraża przy tym wdzięczność dla tłumaczy, w których pracy widzi wiarę w to, że komunikacja jest możliwa. Kto choć raz mierzył się z przekładem lub cierpiął, czytając książkę, w której nie był on najwyższych lotów, zapewne teraz w duchu się do tego dotacza. Ale pytanie pozostaje... Czy ludzie są narzędziami własnego wytworu? Czy zaprogramowali się stworzonym przez siebie kodem setki lat przed wynalezieniem maszyn, które programują obecnie?

Trudno mi było pominąć esej zawierający refleksje autorki na temat *Opowieści Podręcznej*. Zwłaszcza fragment, w którym autorka odpowiada na dwa pytania o swoje dzieło: 1) Czy jest ono obecnie (w 2015 roku) bardziej aktualne niż w momencie wydania (1985 rok) i 2) czy autorka uważa, że jest to powieść profetyczna.

Na pierwsze z pytań odpowiada twierdząco – akcja książki to mieszanka wydarzeń zaczerpniętych z historii, na przykład wielożeństwo esesmanów

¹Atwood M., *Palące pytania. Eseje aktualne z lat 2004–2021*, tłum.: Kłobukowski M., Dobrogoszcz T., Warszawa: Wielka Litera 2022, s. 182.

²Ibidem, s. 285.

i rabowanie polskich dzieci, zbiorowe wieszanie ze średniowiecza, zakaz nauki czytania i pisania dla niewolników... Nawet strój Podręcznej inspirowany był rysunkiem z płynu do czyszczenia, który napał ją grozą za młodu. Atwood dobrze wiedziała, że wszelkie totalitaryzmy nad wyraz interesują się kobietami, które rodzą, przytacza kilka przypadków z historii związanych z rabowaniem dzieci (gdy potrzebni byli obywatele dla reżimu lub mięso

Według Atwood jedno jest pewne: ani te dyskusje ani sama sztuka nie przetrwają w świecie pozbawionym bioróżnorodności

armatnie) lub ich mordowaniem (gdy przez małą ilość zasobów nie było czym ich wykarmić). Jeśli chodzi o odpowiedź na drugie pytanie... Autorka zauważyła roztropnie, że powieść ocenia się jako profetyczną dopiero z perspektywy czasu, gdyż zbyt wiele jest zmiennych, by ocenić to z miejsca. Czy na zakończenie jej lektury można życzyć sobie czegoś innego, niż by historia nie zatoczyła koła?

Czy nie staczamy się po równi pochyłej?

Atwood w jednym z esejów przedstawia nieżyjącą już pisarkę, Ursulę Le Guin, której zadała pytanie nawiązujące do jej esaju – „dokąd odchodzą ci, którzy odchodzą z Omelas?”. Krótki zarys teoretyczny: w esaju Le Guin Omelas to miasto, w którym nie ma niewolników, żołnierzy czy kapłanów, a ludzie są kulturalni i nie brak im intelektu. Ich potrzeby są zaspokojone, choć nie żyją w przepy-

chu. W pewnym wieku poznają jednak cenę tego spokoju – okrutnie traktowane dziecko, zamknięte w lochu.

Tu Atwood (nie tylko w podstępym pytaniu zadanym koleżance po fachu) zastanawia się, gdzie można znaleźć kraj, którego dobrobyt można zbudować... nie na cierpieniu innych. Ale czy takie coś jest możliwe? Czy da się uzyskać jakieś dobro,

które nie będzie tworzone na krzywdzie? Jeśli ktoś myśli „ale mój dobrobyt nikogo nie krzywdzi”, za pewne nie ujrzał jeszcze ceny swoich dóbr. A daleko szukać nie trzeba – mika w kosmetykach w łazience, koltan w telefonach, które nosimy zawsze przy sobie, dzieci w szwalniach w Bangladeszu, których niewolnicza praca pozwala na atrakcyjne rabaty – to nie jest jedno dziecko, ich są tysiące. Są jednak umieszczone daleko od ludzkiego wzroku (dużo dalej niż dziecko w piwnicy w Omelas), który rzadko fatyguje się spojrzeniem głębiej niż na parametry najnowszego smartfona czy cenę bluzki za kilka złotych na promocji w sieciówce.

Pod wpływem tego krótkiego esaju, w dobie internetu chciałabym zadać inne pytania: czy z Omelas da się jeszcze odejść? i co takie budowanie dobrobytu na krzywdzie mówi o kondycji ludzkiej?

Czy za jakiś to słowo „niehumanitarne” nie będzie wyrazem uznania dla czyjejs postawy?

Myśl i pamięć

W ostatnim z wątków pragnę naprędce uwypuklić ostatnie zagadnienie. Są to uwagi Atwood na te-

Palące pytania są jak kije wtykane w mrowisko – każdy ze swoich esejów Margaret Atwood wbiła w umysł czytelnika, zmuszając go do głębokiej refleksji i niejednokrotnie konfrontacji z własnymi przekonaniami. Nie jest to lekka lektura na długie jesienne wieczory – to treści, które zagnieżdżają się

Ale pytanie pozostaje... Czy ludzie są narzędziami własnego wytworu? Czy zaprogramowali się stworzonym przez siebie kodem setki lat przed wynalezieniem maszyn, które programują obecnie?

mat pandemii (oczywiście w esaju z 2020 roku). W czasie, gdy „Dżuma” przeżywała renesans i znikła z półek, a młoda ja próbowałam ułożyć sobie życie, w którym straciłam niemal wszystkie punkty odniesienia, chciałabym usłyszeć słowa starszej kobiety, wspominającej, że jak za czasów jej młodości ktoś przestawał chodzić do szkoły, nie było wiadomo, czy wróci i patrzącej na tabliczki z napisami chorób na domach objętych kwarantanną. Nie uważam, że zmarnowałam czas lockdownu (studia z filozofii były strzałem w dziesiątkę), ale może byłoby prościej.

w głowie i zostają z osobą czytającą, przypominając o sobie w najmniej spodziewanych momentach. Świecie, dziękuję ci za Margaret Atwood. ●



Margaret Atwood,
Palące pytania,
wyd. Wielka Litera,
2022



SYLWIA DZIEMIŃSKA

Absolwentka studiów na kierunku etyka-mediacje i negocjacje i filozofii. Zainteresowana zagadnieniami z obszaru praw kobiet i ochrony środowiska. Korektorka i redaktorka tekstów. Właścicielka firmy „Korekta przy kawie”.

OCZYWISTE NIEOCZYWISTE

OLGA BRZEZIŃSKA

Najbardziej nieoczywiste jest to, że jako gatunek obdarzony wyobraźnią i zdolny do twórczego kreślenia scenariuszy przyszłości tak łatwo rezygnujemy z korzystania z niemal nieograniczonych zasobów ludzkiej kreatywności, by wprowadzać korekty do kursu, jakim podążamy. Czy popadliśmy w słodką ignorancję z lenistwa, czy niczym przerażone zwierzę w światłach nadjeżdżającego pojazdu zastygliśmy w oczekiwaniu na nieuniknioną katastrofę, nie jest tak istotne jak to, że (na szczęście) wciąż daje się usłyszeć sygnał pobudki, wyrrywający nas z odrętwienia.

Alex Baczyński-Jenkins, *Unending love, or love dies, on repeat like it's endless*

Oczywiste jest to, że dobiegła końca kolejna *belle époque*, poczucie bezpieczeństwa i spokoju zostało zachwiane, a społeczeństwo (względnego) dobrobytu nie może być pewne swojego statusu. Nieoczywiste zaś jest to, że nadal ślepo kroczymy w mylnym przekonaniu, że wszystko jest w porządku, albo przynajmniej „jakoś to będzie”. Oczywiście mamy wystarczającą wiedzę i wystarczająco danych, by widzieć rzeczywistość w jej bolesnej dosłowności – katastrofę klimatyczną, kryzys demokracji, wzrost populizmu, nietolerancji, ekonomiczne i społeczne nierówności. W sposób nieoczywisty odwracamy wzrok od tej wiedzy, przekierowując uwagę na tematy zastępcze, trywializujące wyzwania, unikające konfrontacji. A najbardziej nieoczywiste jest to, że jako gatunek obdarzony wyobraźnią i zdolny do twórczego kreślenia scenariuszy przyszłości tak łatwo rezygnujemy z korzystania z niemal nieograniczonych zasobów ludzkiej kreatywności, by wprowadzać korekty do kursu, jakim podążamy. Czy popadliśmy w słodką ignorancję z lenistwa, czy niczym przerażone zwierzę w światłach nadjeżdżającego pojazdu zastygliśmy w oczekiwaniu na nieuniknioną katastrofę, nie jest tak istotne jak to, że (na szczęście) wciąż daje się usłyszeć sygnał pobudki, wyrrywający nas z odrętwienia. Wdziera się w uszy i natrętnie o sobie przypomina kultura krytyczna, podważająca i kontestująca, odzierająca ze złudzeń, zachęcająca do refleksji i zapraszająca do poszukiwań nowych, lepszych rozwiązań.

enough not enough

Niewielkie Santarcangelo w prowincji Emilia-Romania, w pobliżu Rimini – kurortu i miasta Felliniego, od ponad pięciu dekad szczyli się jednym z najważniejszych włoskich festiwali teatralnych. Od 2022 roku jego dyrektorem artystycznym jest Tomasz Kireńczuk, współzałożyciel krakowskiego Teatru Nowego Proxima i współtwórca programu Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Dialog – Wrocław w latach 2011-2019. Wybrany w międzynarodowym konkursie, Kireńczuk pełni tę funkcję przez trzy kolejne edycje do 2024 roku. W jego pierwszym autorskim programie, o którym pisałam na tutejszych łamach rok temu, usłyszeliśmy polifonię wypowiedzi artystycznych z wielu zakątków świata w odpowiedzi na hasło zeszłorocznej edycji, „Can you feel your own voice?”. W tym roku Kireńczuk poszedł dalej, zestawiając ze sobą takie propozycje artystyczne, które stawiają opór zastanemu porządkowi spraw i stanowią wyraz sprzeciwu wobec *status quo* – tak wybrzmiewa przewodnie *enough*, za którym podąża *not enough*, rezonując oskarżycielsko – za mało, wciąż za mało zrobiliśmy i robimy na rzecz lepszej rzeczywistości dla wszystkich.

Hasło przewodnie najstarszego włoskiego festiwalu sztuk performatywnych, „*enough not enough*” [dosyć – za mało] podkreśla, że doszliśmy do granicy obecnego *status quo* – dość już tego, basta, stop! Z drugiej strony to wołanie o przebudzenie – żeby zobaczyć, że



Chiara Bersani, *(nel)SOTTOBOSCO*



nie zrobiliśmy jeszcze wystarczająco dużo, by uporać się z kryzysami, które sami na siebie sprowadziliśmy. Pozornie niespójne enough not enough znakomicie odzwierciedla obecną sytuację społeczno-polityczną, znajduje oddźwięk w doświadczeniu jednostki, ale równie głęboko rezonuje ze wspólnotowym. Santarcangelo dei Teatri od dawna przyzwyczajają swoją wierną i ciekawą publiczność do wspólnych poszukiwań i konfrontacji. Enough not enough jest nie tylko pobudką, ale także wezwaniem do działania społecznego. W ten sposób festiwal spełnia ważną rolę – jest platformą dla śmiałych poszukiwań i eksperymentów artystycznych, ale staje się także pomostem łączącym to, co wyobrażone z tym, co rzeczywiste, ulotne z powszednim, niedopowiedziane z nazwanym. Zbliżając ze sobą i budując połączenie pomiędzy artystycznym doświadczeniem i codziennym życiem, festiwal staje się zalążkiem zmiany, wywołując poruszenie emocjonalne, intelektualne, fizyczne. Jak pisze w eksplikacji na stronie festiwalu Tomasz Kireńczuk: „Bo czymże innym powinno być doświadczenie festiwalu takiego jak Santarcangelo, jeśli nie próbą i okazją do wyłamania się z utartych schematów myślenia i skonfrontowania się nie tylko ze światem, w którym żyjemy, ale przede wszystkim z rzeczywistością, w której moglibyśmy i chcielibyśmy żyć? Wychodząc od tych propozycji artystycznych, szukamy odpowiedzi na kilka pytań: gdzie są nasze granice przyzwolenia i punkty krytyczne, które wywołują sprzeciw? Gdzie i kiedy zaczyna się zmiana?

Żyjemy w świecie pełnym nierówności, niesprawiedliwości i wyzysku. Czy jesteśmy gotowi ogłosić, że przekroczyliśmy granicę? A jakie są konsekwencje?”

minimalne maksymalne

O kilkudziesięciu spektaklach prezentowanych w tym roku na festiwalu można by długo pisać, lecz wykracza to poza zadanie tego tekstu, który ma ambicję zasiać ziarno ciekawości i wzbudzić apetyt, by może w kolejnym roku czytający te słowa zechcieli odwiedzić piękne włoskie Santarcangelo i przeżyć ten festiwal po swojemu. Docenić przede wszystkim chcę bogatą paletę propozycji artystycznych – od bardzo subtelnych, zasadzonych na osobistych historiach przedstawieniach, po te, które zmierzyły się z wielkimi narracjami. To, co uderza w propozycjach artystek i artystów zaproszonych do Santarcangelo, to maksymalna siła często minimalnego gestu. Moc uniwersalizmu wywiedziona z indywidualnego doświadczenia. Jedno ciało spychane na skraj wytrzymałości, by wiele innych obserwujących je ciał mogło poczuć swoje granice.

Dojmujący krzyk z jednego gardła daje głos cierpieniu tysięcy ludzi krzywdzonych, prześladowanych i torturowanych. „Minuta krzyku dla Białorusi” Jany Shostak, polsko-białoruskiej artystki i aktywistki, zapoczątkowana w 2021 roku przez nią pod przewodnictwem Unii Europejskiej w Warszawie, wybrzmiała na głównym placu Santarcangelo, wdzierając się

w uszy i dusze apelem o zdecydowane działania wobec reżimu Łukaszenki.

W „workpiece” Anna-Marija Adomaityte w monotonnym ruchu na bieżni testuje granice wydajności i produktywności. Choreografię zbudowała na podstawie własnych doświadczeń i opowieści pracowników sieci McDonald, wykonujących wyczerpującą, powtarzalną i skrajnie zautomatyzowaną pracę.

Niewielki gest z wielkimi konsekwencjami studuje Wojciech Grudziński w spektaklu „Bow A Study”, stanowiącym metarefleksję nad znaczeniem i konotacjami aktu ukłonu, w historii tańca, ale i w osobistym doświadczeniu („Kiedy nauczyłeś mnie kłaniać się, uwierzyłem ci. Myślałem, że dajesz mi szczęście, ale wiedziałeś, że mnie zabijasz”), by poddać go dekonstrukcji. Z aktu uległości pójść drogą odzyskiwania mocy i sprawczości.

W plenerze, na rżysku nieopodal miasteczka, zaprezentowano spektakle Chiary Bersani „(nel) SOTTOBOSCO”, Sary Sguotti „S. O. P.” („Some Other Place”) oraz Alexa Baczyńskiego-Jenkinsa „Unending love, or love dies, on repeat like it's endless”. Trzy różne propozycje, a każda przez ciało, ruch i tę szczególną scenografię opowiedziały ważną historię. Bersani buduje przestrzeń spotkania osoby z niepełnosprawnością z innym ciałem tancerki. Na białej scenie pokrytej słodkimi piankami zacierają się kontury pomiędzy

ciałami, które na co dzień dzieli wiele, liczy się tylko intensywność kontaktu. Sguotti eksploruje granice pomiędzy przewidywalnym a zaskakującym ruchem, wpisując się w zastaną scenografię, by po chwili gwałtownie z niej wyskoczyć. Spektakl Alexa Baczyńskiego-Jenkinsa z kolei to propozycja niemal medytacyjna, hipnotyzująca pięknym trojga tańczących, spokojem emanującym z precyzyjnego dialogu ciał i gestów, uwodząca niezwykłą muzyką. W tej choreografii było wszystko, co obiecywał tytuł – nieskończoność miłości, która przechodzi nieskończenie wiele metamorfoz, uśmiercając jedną formę, by odrodzić się w innej, a to wszystko w naturalnie zmieniającej się scenarii – od złotego i ciepłego światła zachodzącego słońca nad świeżo zebrany zbożem, po zmierzch i wreszcie chłodne światło niebieskich reflektorów kontrastujących z wiecznym niebem.

Jednym z najbardziej dojmujących spektakli był „Whitewashing” Rébeki Chaillon, który wierzę, że wkrótce będzie można obejrzeć również w Polsce. W białej przestrzeni dwie czarnoskóre kobiety zmywają podłogę. Zadanie syzyfowe, gdzie zmyją, tam z zawieszonych nad sceną pojemników spadają brunatne krople. Chaillon, masywna, wysmarowana jest białą farbą, ukrywającą niezdarnie kolor jej skóry, a oczy ma pokryte bielmem. Druga aktorka, Aurore Déon, pomaga jej zmyć białą maź i odzyskać swój kolor. Chaillon pozbywa się imitujących bielmo soczewek i zaczyna czytać ogłoszenia

Sara Sguotti, S.O.P. - SOME.OTHER.PLACE



Wojciech Grudziński, Bow A Study





towarzyskie z kolorowej prasy, podczas gdy Aurore plecie jej długie warkocze, przywiązując je w różnych miejscach widowni:

„Biały mężczyzna, Francuz po pięćdziesiątce, kulturalny, czysty, elegancki, wysportowany, metr wzrostu i 73, 72 kilogramy. Szuka swojej «czarnej perły» we Francji, aby stworzyć poważny i trwały związek”.

„Biały mężczyzna po sześćdziesiątce, wdowiec, młody, niepalący, czuły, twardo stąpający po ziemi, szuka czarnej kobiety, nieskrępowanej, bardzo zmysłowej, do małżeństwa i szczerych uczuć. Pomysł na randkę: klub, pchli targ i las”.

„Rozpaczliwie samotny, 60 lat, rozwiedziony, pozna afrykańską partnerkę, zabawną, szczupłą, mieszkającą w Paryżu”.

Bolesna scena osiąga swój kres – obie kobiety znajdują wyzwolenie. Rébecca za pomocą zapalniczki uwalnia się z pęt warkoczy, Aurore zrzuca strój sprzątaczkę i zakłada atrybuty Kreolskiej księżniczki. Ze sceny padają ważne słowa, które – jak i hasło festiwalu – brzmią jak oskarżenie i jak postulat zmiany: „Wszystko, co zostało zniszczone, trzeba złożyć z powrotem. Trzeba przypomnieć wszystko, co zostało zapomniane. Wszystko, co nas stworzyło, musi zostać odzyskane. Musimy na nowo odkryć nasz utracony język i fryzury. Eksploruj tajemnicze ogrody i zbroje ochronne. Oczyszczajmy dżunglę naszej genealogii, aby pewnego dnia stać się rośliną tak dziką, że aż się wyzwoli”. ●



OLGA BRZEZIŃSKA

Wykładowczyni akademicka (Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński, Akademia Teatralna w Warszawie), dyrektorka programowa Leadership Academy for Poland, menadżerka kultury. Prezeska i współzałożycielka Fundacji Miasto Literatury, członkini Rady Mentorskiej Fundacji Rafała Brzozki oraz współtwórczyni inicjatywy Executives for Impact, która wspiera w rozwoju, akceleracji i budowaniu strategii organizacje non-profit. Ekspertka w edukacji dorosłych w zakresie komunikacji, negocjacji, budowania zespołów i zarządzania zmianą. Jest facylitatorką procesów strategicznych i rozwojowych dla organizacji, instytucji i osób indywidualnych.

TKM. A TERAZ, KURWA, FASZYŚCI

JAKUB ANDRZEJ LUBER

Jarosław Kaczyński, wypowiadając te słowa w 1997 roku, stworzył symbol polskiego politykierstwa. Pokazał, że fundament PRL jako systemu, w którym bardziej od problemów nękających Państwo liczyły się państwowe stołki rozdawane funkcjonariuszom partyjnym, pozostaje w mocy. To piękny wyraz polskiej kultury politycznej, a właściwie jej agonalnego stanu.

Polska scena polityczna trzymała się w takich ryzach w zasadzie przez całą III RP. Dla poszczególnych partii politycznych ważniejsze było wyniszczenie rywala niż problemy społeczne. Uwidaczniało się to w kampaniach wyborczych, w których często w latach dziewięćdziesiątych zamiast przedstawiać rozwiązania na kryzysy nękające Polaków, politycy zajmowali się tłumaczeniem, jak działa system wyborczy i dlaczego my, jako wyborcy, stracimy swój głos, głosując na daną partię. Nie inaczej było z przestrzeganiem konstytucji. To ten wielki Polak, najbardziej znany w historii elektryk, noszący dzisiaj bardziej komiczny niż poważny napis „konstytucja” na koszulce wprowadził do politycznego słownika pojęcie „Falandyzacji”, które zawdzięczał wymyślnym zabiegom swojego prawnika w kreatywnym interpretowaniu obo-

wyborczą bardziej sprzyjającą mniejszym ugrupowaniom.

Te wszystkie zagrywki mieściły się jednak w pewnej przyjętej umowie, czy nawet ideologii, nazywającej się dość wdzięcznie – „Teraz, kurwa, my!”. Umowa ta obowiązywała zdecydowaną większość polityków. Jej zasady były banalnie proste. Całkowite zwanie. Podgrzewanie emocji do najwyższego, wydawać by się mogło, wręcz nieosiągalnego poziomu. Sprzyja to obu stronom, bo tym konfliktem żywi się ich elektorat. Po wzajemnym nalepieniu sobie nalepek „rusofobów” i „partii proniemieckiej” (Fur Deutschland!) wzbudziła w swoich wyborcach prawdziwy gniew wobec drugiej strony. Polaryzacja w Polsce w chwili obecnej jest już na tak wysokim poziomie, że wkroczyła w nasze codzienne ży-

Mimo że od zawsze byłem przeciwnikiem polaryzacji, to jednak za szkodliwą i usypiającą naszą czujność uważam ją dopiero od niedawna

wiązujących konstytucji. Widać to wreszcie w grzebaniu przy systemie wyborczym. By uprzykrzyć rywalom życie, odchodzące do opozycji wciąż jeszcze rządzące koalicje stosowały wobec swoich następców taktykę spalonej ziemi, ustanawiając nową ordynację

cie. Płomienne i żywiołowe dyskusje przy stole wigilijnym zastąpiła istna rodzinna sieczka. Cały ten system – TKM – opiera się jednak na fundamentalnej zasadzie stanowiącej podstawę jego funkcjonowania – owszem, teraz, kurwa, my, ale potem, kurwa, oni. A następnie

znowu, kurwa, my. Cały pic polega na tym, żeby nie dopuścić do władzy trzeciej strony. Pozostawienie *status quo* gwarantuje im całkiem niezłą perspektywę dojścia do władzy w przyszłości. Mimo że od zawsze byłem przeciwnikiem polaryzacji, to jednak za szkodliwą i usypiającą naszą czujność uważam ją dopiero od niedawna. Dlaczego? To właśnie jej mechanizmy otworzyły tak szeroko drzwi szurom, oszołom, ruskim agentom i innym proputinowskim śmieciom politycznym.

Zwróćmy uwagę na strukturę elektoratu Szymona Hołowni z wyborów prezydenckich w 2020 roku. Są to wyborcy zniesmaczeni polaryzacją, mający dość wojny polsko – polskiej, idący na wybory często pierwszy raz. W skrócie mówiąc – antysystemowcy. Dokładnie ci ludzie, którzy dzisiaj tak ochoczo powierzyli swoje głosy Braunowi czy Korwinowi. Jeśli nie dowierzacie, to przypomnijmy sobie jeszcze jedną kwestię. Szczepienia. Gdy wchodziły one do obiegu, głośno wówczas mówiło się o problemie w elektoracie Szymona Hołowni. Zaraz po Konfederacji miał on największy odsetek antyszczepionkowców w szeregach. Ten elektorat właśnie przepłynął do Konfederacji.

W jaki sposób przepłynął do Konfederacji? Nie mam zamiaru bronić tutaj Szymona Hołowni. Jestem świadomy faktu, że decyzja o koalicji z PSL-em oznaczała mocne



wytrącenie sobie elektoratu antysystemowego. Uważam jednak, że główną odpowiedzialność za to ponoszą, niestety, wolne media. Konkretnie jedna wolna stacja telewizyjna szczególnie lubiana przez polityków Koalicji Obywatelskiej. Pamiętam złośliwe komentarze jej dziennikarzy na konferencjach prasowych. „Po co właściwie nas tu zaprosiliście, skoro nie dajecie nam konkretów? W jakiej konfiguracji wystartujecie?”. Pamiętam wyśmiewanie polityków z ruchu Szymona Hołowni podczas okrągłego stołu dla edukacji. Wreszcie, pamiętam obrzydliwie przekłamywane sondaże tworzone po to, żeby spychać Trzecią Drogę pod próg. Sam ten projekt wzbudza sporo moich uwag, owszem – ale to, że jest on dziś (bo nie wiemy, czy będzie jutro) czwartą drogą, jest zasługą między innymi tych sondaży. Tyle że to właśnie jest efekt utrzymywania po-

bezpieczniej, tym bardziej że mogą swobodnie wówczas przebijać jeszcze bardziej populistyczne propozycje PiS-u. 800+? Jasne, ale teraz! Czemu za pół roku? Kredyt na 2%? Dajmy O! Mogą pozwolić sobie na taką licytację teraz, bo wiedzą, że przy tak silnej Konfederacji opozycja nie złoży rządu.

„Kasy nie ma i nie będzie”

Jeśli ktoś w to wątpi, to spieszę z przypomnieniem, jak wyglądały rządy PO w latach 2007-2015. Polityka ciepłej wody i wieczne powtarzanie jak mantra, że pieniędzy w budżecie nie ma. Wspieranie usług prywatnych tak, żeby nie wyprzeć publicznych całkowicie, ale żeby opłacało się zamożnym przedsiębiorcom (czyli głównemu elektoratowi PO) zakładać własne szkoły, kliniki itp. Czym to

Platforma postawiła pierwszy krok na drodze do polaryzacji. I to Platforma musi wziąć odpowiedzialność za silną Konfederację. To oni pierwsi wyskoczyli z tezą, że Trzecia Droga nie przekroczy progu, a media i sondażownie będące w ich łasce pokornie im wtórowały. Przekaz płynący z KO był banalnie prosty: „No, chodźcie do nas na jedną listę! Zrobimy z Was wszystkich nowe Nowoczesne. Będziecie w sejmie, ale pod naszą batutą”.

Takie prowadzenie polityki wobec mniejszych potencjalnych koalicjantów prowadziło do ich stopniowego wyniszczania. Do oddawania ich elektoratu antysystemowego prosto w łapczywe ręce Konfederacji. To właśnie usilne trzymanie się zasady „Teraz, kurwa, my,

potem, kurwa, wy i byle nigdy, kurwa, oni!” spowodowało taką wielką katastrofę, jaką jest wzrost poparcia królów populizmu, chłopców, co nie pracowali nigdy poza budżetówką, a udają wybitnych ekonomistów (Berkowicz), dzieciaki z Polską na ustach i Kremlem w sercu (choć bardziej pewnie w portfelu) i inne masy oszołomów. Wolne media, publikując różne materiały liczą, że w ten sposób otworzą ich wyborcom oczy. Ciężko to jednak zrobić, bo sami im te oczy zamknęli. Zniszczcie Hołownię, Kosiniaka i Zandberga, a będziecie mieli Brauna w rządzie. Tak czy inaczej – TKM powoli przestaje obowiązywać. Przekonamy się, która okupacja jest gorsza. Systemu TKM, czy Chłopców z Konfederacji... ●

Takie prowadzenie polityki wobec mniejszych potencjalnych koalicjantów prowadziło do ich stopniowego wyniszczania. Do oddawania ich elektoratu antysystemowego prosto w łapczywe ręce Konfederacji

lityki TKM za wszelką cenę. Niedopuszczenie do głosu mniejszych podmiotów, stanowiących zagrożenie dla obu hegemonów polskiej sceny politycznej. Bezpieczniej jest być liderem opozycji niż tworzyć rząd kilku partii.

skutkowało? Znaczącym obniżeniem się jakości usług publicznych i podzieleniem społeczeństwa na tych lepszych, których stać na dobrą, prywatną usługę i tych, którzy muszą się męczyć marnymi usługami publicznymi. To



JAKUB ANDRZEJ LUBERT

Student Prawa Uniwersytetu Warszawskiego aktywnie biorący udział w studenckim ruchu naukowym, szczególnie w zakresie karnistycznym. Koordynator kujawsko - pomorskiego Pokolenia 2050. Członek fundacji edukacyjnej "Nowy Głos". Wicemistrz Polski na poziomie licealnym i półfinalista Akademickich Mistrzostw Polski Debat Oksfordzkich. Chrześcijański demokrat marzący o Polsce zielonej, obywatelskiej i sprawiedliwej.



PIOTR BENIUSZYS

DZIELĄ SIĘ!

„Może i Kradną ale Się Dzielą” to już w zasadzie druga, nieoficjalna nazwa partii Prawo i Sprawiedliwość. Jak kraj długi i szeroki, MiKaSD ma szansę stać się powszechnie stosowanym zamiennikiem dla skrótowca PiS, który w trzech najczęściej używanych językach Europy przynosi niekorzystne skojarzenia z uryną (acz w tym najczęściej używanym także z błogim stanem alkoholowego upojenia). O pisowcach wszyscy mówią, że wysysają państwo z poczuciem sprawiedliwości społecznej. Czyli co prawda sami seryjnie wchodzą na listy „Milionerów PiS” (i to bez konieczności znoszenia czerstwych żartów Huberta Urbańskiego przez pół godziny), ale także sypią groszem społeczeństwu. W tej ocenie rzeczywistości rządów partii Kaczyńskiego Polki i Polacy są przy tym tak zgodni, jak w polityce nigdy. Po prostu zwolennicy opozycji podkreślają, że władcy kradną, a zwolennicy władców wypuklają, że się dzielą. Ale sporu tutaj nie ma.

Ostatnie tygodnie przyniosły więc radosną nowinę, że władza już na stałe „da” starszkom czternastą emeryturę, tak jak uprzednio dała trzynastą. W podtekście zawarta jest sugestia, że jak społeczeństwo będzie siedzieć cicho i rządowi rabanu nie robić, to piętnasta wchodzi w grę. Zaraz po kilku roszadach

na stanowiskach zarządczych w spółkach skarbu państwa, w których odchodzący dostają odprawy. Są tacy, którzy niedługo dostaną odprawy trzynaste i czternaste od czasu „dobrej zmiany” z 2015 r., więc dołączą emerytów.

Ale MiKaSD to nie są tylko materialisci. Korzyści z trzymania z władzą nie ograniczają się tylko do inkasowania żywej gotówki. Politycy partii władzy też przecież nie tylko zarabiają od ośmiu lat krocie, ale także mają inne przywileje. Jednym z najważniejszych jest możliwość ignorowania przepisów prawa. O ile tylko statystyczny pisowiec nie podpadnie prezesowi, to – choćby się dwoił i troił – prokuratura mu żadnej sprawy nie wytoczy. Długo myślano, że ten przywilej będzie zarezerwowany tylko dla VIP-ów z partyjnej wierchuszki. Gdy jednak kolejne lata u żłobu pokazały, że żadna afera się tej władzy nie ima i że mogą sobie pozwolić dosłownie na wszystko, a elektorat z marszu wybaczają, to można było i krąg beneficjentów programu ochrony sprawców znacznie poszerzyć.

I oto także i w tym zakresie wchodzimy w etap dzielenia się! Słynna Marika, Czyścicielka Narodu z czapeczką z orzełkiem i uroczym uśmiechem, stała

się pierwszą „szarą obywatelką”, z którą władza podzieliła się bezkarnością. Poszarpała tam jakieś lewactwo, palec zwicznęła – szkoda język strzępić. Zrobiła to w imię wartości, a zwicznęty palec był palcem antywartości. To się liczy!

Marika jest już wolna i może liczyć na limit przywilejów. Emeryci na stałe dostają dwie emerytury więcej niż jest miesięcy, a na trzecią taką mają szansę, jak władza ma w danym roku dobry humor (lub wybory na karku). Tak więc i Marika niech ma limit uwolnień od odpowiedzialności!

Okay, jedną już wykorzystała, ale minimum jedną jeszcze ma! Co zrobi Marika? Który kawałek naszego narodu oczyści? Czy stanie na nogę, nieznacznie łamiąc lesbijską kość śródstopia? Czy popchnie i przewróci na miękką trawkę, tylko powodując zwicznienie komuszego nadgarstka? Czy wyciągnie „z bańki” komuś, prostując feministyczny nos? A może – zupełnie staromodnie – da z glana kopa komuś w liberalny zad?

Marika jeszcze nie wie. Tyle możliwości. Jedno jest pewne: na pewno się ślicznie teraz uśmiecha.

COLD WAR LIBERALS

Prezentuje:
PIOTR BENIUSZYS



„Cold War Liberals” jest rubryką biograficzną. Od maja 2022 do grudnia 2023 przedstawiamy w niej pokrótce sylwetki 20 znaczących polityków liberalnych z zachodniej strony „żelaznej kurtyny”, których szczyt działalności publicznej przypadł na lata zimnej wojny.



PER AHLMARK

Współcześnie zagrożenia dla wolności i demokracji liberalnej obserwujemy głównie z prawej strony sceny politycznej, której aktorzy niekiedy do swojego arsenału włączają lewicowe hasła wsparcia socjalnego w celu zwiększenia swojej popularności. Liberalowie czasu „zimnej wojny” jednak, żyjąc w cieniu ZSRR, mieli prawo koncentrować uwagę

na zagrożeniach z przeciwnego narożnika. Do szwedzkiej debaty politycznej cenną refleksję na ten temat wniósł Per Ahlmark, nie tylko jako aktywny polityk przez część swojego życia, ale przede wszystkim jako twórczy intelektualista.

Ahlmark urodził się w 1939 r. w stolicy Szwecji, w lekarskiej rodzinie. Nie poszedł jednak

zawodowo w ślady rodziców, tylko wybrał studia politologiczno-socjologiczne, które ukończył na Uniwersytecie w Sztokholmie w 1964 r. Jako student właśnie odkrył swoją pasję do politycznego aktywizmu (choć już jako licealista wystosował do rządu list protestacyjny przeciwko obowiązkowej modlitwie porannej w szkołach, który początkowo odrzucony, wywołał burzliwą debatę w mediach i ostatecznie doprowadził do realizacji postulatu) i od początku jego wybór padł na środowisko Partii Ludowej (*Folkpartiet* – Fp), jak wówczas nazywano w Szwecji partię liberalną. Wszedł w szeregi i jej młodzieżówki i rychło został wybrany przewodniczącym.

W późniejszych wspomnieniach Ahlmark podawał, że momentem formacyjnym światopoglądowo był w jego przypadku szok wywołany brutalnym zdławieniem węgierskiego zrywu niepodległościowego przez Sowietów w 1956 r. To wówczas zakotwiczył się w nim antykomunizm i dystans wobec dominującej w Szwecji lewicy socjalistycznej.

Od 1967 do decyzji o zakończeniu kariery politycznej zasiadał w parlamencie, przez większość czasu reprezentując okrąg stołeczny. W latach 1971-76 dodatkowo reprezentował Szwecję w zgromadzeniu Rady Europy.

Szefem Fp został wybrany na trzy lata w 1975 r. Jego pierwszą decyzją było zakomunikowanie socjalistycznemu premierowi Olofowi Palme, że nie będzie on mógł liczyć na żadną współpracę rządową z liberałami w kolejnej kadencji Riksdagu. Celem Ahlmarka było odsunięcie lewicowego

hegemonia od władzy w Sztokholmie i to się w roku kolejnym udało. Tak oto, w pierwszym niesocjalistycznym rządzie Szwecji od okresu międzywojennego (opartym na koalicji liberałów, agrarnego Centrum i konserwatywnych moderatów), Ahlmark pełnił funkcję wicepremiera oraz ministra pracy (jego teka obejmowała także imigrację i politykę równości płci). Jego praca w resorcie skupiała się na walce ze skutkami kryzysu, spowodowanego socjalistyczną polityką poprzedników, którego objawem były równoczesne wzrosty inflacji i bezrobocia. Sukcesem ministerialnym Ahlmarka było sprowadzenie bezrobocia do poziomu 2%.

W 1978 r. podjął decyzję o rezygnacji z bezpośredniego uczestnictwa w polityce partyjnej, gdy jego partnerka, aktorka Maude Adelson, popełniła samobójstwo. Ahlmark cierpiał na depresję i uznał, że nie jest w stanie odpowiedzialnie pełnić żadnych funkcji publicznych. Jego przyszłość leżała w pracy w sferze ideowej, w pisarstwie i publicystyce, a nawet poezji. Angażował się także w takich organizacjach jak Martin Luther King Fund, Elie Wiesel Foundation for Humanity czy w watchdogu „UN Watch”, kontrolującym działania ONZ w zakresie ochrony praw człowieka. Wyrazem jego pozapolitycznej pasji było kierowanie przez kilka lat Szwedzkim Instytutem Filmowym.

Jak na szwedzką partię liberalną (przez większość czasu prezentującą dość wyraźnie wolnorynkowe postulaty), Ahlmark był politykiem i publicystą dość umiarkowanym w kwestiach gospodarczych, można powiedzieć: socjalliberałem. W dziedzinie polityki międzynarodowej, geopolityki oraz

oceny ideologicznych implikacji tej materii jego pisma były jednak gorące i silnie zaangażowane. Ahlmark był (w neutralnej przecież Szwecji) zdecydowanym „atlantystą”, zwolennikiem bliskiej współpracy z USA i NATO, poplecznikiem Izraela oraz równocześnie zadeklarowanym wrogiem ZSRR, Organizacji Wyzwolenia Palestyny, krytykiem państw arabskich oraz wszystkich, wcale licznych polityków i autorów (przede wszystkim lewicowych), którzy w tych sporach silili się na „symetryzm” lub nawet wyrażali sympatię dla strony sowiecko-arabskiej. Ahlmark zwalczał komunizm, antysemityzm i lewicową naiwność wobec ZSRR zarówno w swoich książkach, jak i w artykułach w „*Expressen*” oraz „*Dagens Nyheter*” (praktykę miał niezwykle długą, bo pierwsze reportaże o tematyce filmowej publikował już w szkole średniej).

Per Ahlmark napisał wiele głośnych tekstów, lecz jego najważniejsze dzieła, zbierające niejako wnioski z realiów polityki w „zimnej wojnie”, wyszły po jej zakończeniu – w latach 90-tych. W „Moralnej winie lewicy” oraz w „Lewica i tyrania: szalone ćwierćwiecze” Ahlmark postawił ofensywną tezę o współodpowiedzialności także szwedzkiej lewicy (tak jej polityków, jak i w jeszcze większym stopniu jej intelektualistów) za zbrodnie komunizmu przeciwko ludzkości. Zarzucił lewicowym autorom i uczestnikom debaty wybielanie, usprawiedliwianie, pudrowanie i przemilczanie licznych zbrodni popełnionych pod czerwonym sztandarem, co najmniej od końca stalinizmu. Nie trudno odgadnąć, że spotkał się z odzewem w postaci istnej furii. Dzisiaj ruch woke niewątpliwie zaproponowałby objęcie Ahlmarka „kulturą” wymazania.

Ahlmark był żarliwym wrogiem antysemityzmu i wiele wysiłku włożył w jego zwalczanie i demaskowanie. Był autorem dwóch sprawozdań dla Rady Europy o faktycznie istniejącym, lecz skrętnie ukrywanym antysemityzmie w ZSRR. W 1983 r. współtworzył Szwedzki Komitet Przeciwko Antysemityzmowi i był współinicjatorem Deklaracji z Oslo w tej sprawie. W 2004 r. został uhonorowany za całokształt życia przez American Jewish Committee Nagrodą im. Jana Karskiego. Mógł się także poszczycić tytułem doktora *honoris causa* Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie oraz Kolegium Hebrajskiego w Bostonie. Był wiceprezesem Towarzystwa Szwedzko-Izraelskiego i miał w Izraelu niezliczone kontakty, ale z czasem kierował także krytyczne uwagi pod adresem polityki osadniczej Tel Awiwu. Od 1970 r. był zadeklarowanym zwolennikiem dwupaństwowego rozwiązania konfliktu na Bliskim Wschodzie. Rząd, którego był wicepremierem, zmienił linię Szwecji w tej sprawie i w efekcie stał się pierwszym rządem na świecie, który poparł ideę powołania państwa palestyńskiego obok Izraela. Był także otwartym przyjacielem Tajwanu i popierał jego ambicje niepodległościowe.

Per Ahlmark zmarł w 2018 r. w Sztokholmie. Jeszcze za jego życia powołano fundację jego imienia, której celem jest „promowanie badań naukowych i nauczania w zakresie nauk politycznych, historii idei i historii Żydów, a także w ekonomii, ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień dotyczących demokracji i praw człowieka”..●

PAWEŁ PODLIPNIAK

ESCHATON

to martwa ryba – gwóźdź wbijany w trumnę rzeki
i smród, jak całun unoszony wiatrem ponad twarz wdowy,
przy rybie kaleki, kupcy, kłamcy, złodzieje czekający zbawcy,
który miał nadejść, gdzieś w granicach wtorku,
z jasnym, czystym przesłaniem: strzeżcie się niosących
sieci, oni z was ulepią szklistowonne golemy
na obraz i podobieństwo tego, co się buja
w lepkich od potu skończonych przestworzach,
a tam już tylko dzwon i wielka kraksa
bez szans na odwrót.

to żywe srebro – cierń wyjęty ze stopy żebraka
i kłamstwo, niby lufa przystawiona do głowy dziecka,
w relacji na żywo z cienkiej linii frontu
– w tle martwe koty zwisające z drzew
wiadomości dobrego, lepszego i wypasionej łaski,
a za tłem tli się cyrk całkiem szalony,
wije i parska żarem, oczekując słowa,
które nam zmarszczy brew w niemym zdziwieniu,
a potem tylko dzwon i wielka kraksa,
bez szans na odwrót.

to odwrót – druga strona do przenicowania,
więc gwóźdź rdzewieje, tuli się do ręki.
jeśli najczulej przebijie nadgarstek,
to znak, że wzięliśmy szaleństwo za miłość
i w tym złudzeniu już pozostaniemy.

Paweł Podlipniak (ur. 1968) jest poetą, z wykształcenia bizantynistą, z profesji nauczycielem języka angielskiego i dziennikarzem. Redaguje „Salon Literacki”. Wydał cztery zbiory wierszy: *Aubade triste* (MBP/ITE, Radom 2010), *Karmageddon* (Salon Literacki, Warszawa 2012), *Madafakafares* (GSW BWA, Olkusz 2014) i *Herzlich Endlösen* (GSW BWA, Olkusz 2017). Mieszka w Radomiu.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości. Redaguje Rafał Gawin

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:

Leszek Jażdżewski

Redaktor prowadząca miesięcznik Liberté!:

Magdalena M. Baran

Numer ukazuje się dzięki wsparciu czytelników.

Zespół Liberté!:

Piotr Augustyniak

Piotr Beniuszys

Marcin Celiński

Sławomir Drelich

Joanna Ellmann

Marcin Frenkel

Daria Hejwosz-Gromkowska

Sławomir Kalinowski

Tomasz Kamiński

Tomasz Kasprowicz

Joanna Łopat

Magda Melnyk

Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia

i współpraca zagraniczna:

Olga Łabendowicz

Koordinacja biura Fundacji, opieka nad liberte.pl:

Joanna Głodek

Redaktor prowadząca liberte.pl:

Magda Melnyk

redakcja@liberte.pl

Koordinacja 6. dzielnicy:

Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:

Lotokot Studio

Korekta:

Piotr Beniuszys

Sylwia Dziemińska - Korekta przy kawie

Ilustracje:

- Zdjęcia na licencji CC
- Okładka: Photo by Phil Botha on Unsplash
- Zdjęcia do artykułu „Człowieczeństwo każdego człowieka”: Magdalena M. Baran
- Zdjęcia do artykułu „oczywiste nieoczywiste”: Olga Brzezińska

WYDAWCA:

Fundacja Liberté!

ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:

Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu

Leszek Jażdżewski

ISSN: 2080-4326